



 SAGA
EGMONT

Stanisław Przybyszewski

CZĘŚĆ 2

HOMO SAPIENS

Po drodze



 SAGA
EGMONT

Stanisław Przybyszewski

HOMO SAPIENS

CZĘŚĆ 2
Po drodze

Stanisław Przybyszewski

Homo Sapiens 2: Po drodze

Saga

Homo Sapiens 2: Po drodze

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1901, 2020 Stanisław Przybyszewski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726426250

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

I

PANNA Maryt Kauer siedziała na werandzie dworku i była niezmiernie niespokojna i uradowana.

A więc wreszcie, wreszcie. . . Całkiem już straciła nadzieję, że go kiedykolwiek ujrzy. Co najmniej dziesięć razy pisał do matki, że przyjedzie: jutro, po jutrze. To znowu miał tak szalenie pilną robotę, że mógł przyjechać dopiero w następnym miesiącu. A potem minął jeden miesiąc i drugi. Ale wreszcie: teraz przyjechał, przyjechał. . .

Dziś przyszedł jej mały brat z gimnazjum i nagle przypomniało mu się, kiedy już wypowiedział tysiąc głupich błaheństw ze szkoły, że pan Falk przyjechał. Ale doprawdy, pan Eryk Falk czekał na niego przed gimnazjum, kazał się głęboko pokłonić rodzicom i powiedzieć, że jeszcze dziś popołudniu złoży swoją wizytę.

Panna Maryt oniemiała na chwilę; nie była w stanie w to uwierzyć.

Boże najdroższy, jak przecierpiała te ustawiczne zwłoki! Od zmysłów odchodziła przez cały ten straszliwy czas. Całą swą godność panięską poświęcała: — przecież pisywała do niego błagalne listy, prosiła go tak gorąco, tak usilnie, by przyjechał chociaż na tydzień jeden.

Coprawda robiła to, bo prosiła ją o to krótkowidząca matka Falka, dla której pisanie było męczarnią. Ale przecież miał tyle bystrości by widzieć, ile tęsknoty, ile pragnień drżało w każdym jej słowie.

A może nie chciał zrozumieć?

Boże! miałyby to być prawdą, co o nim mówiono?

Nie, to wszystko podłe, ohydne kłamstwo. Te brzydkie, wstrętne plotki. Falk miał się podobno ożenić w tajemnicy, miał mieć już syna, a zawarł z jakąś panienką tajemny, cywilny ślub. I to na domiar wszystkiego z jakąś Francuzicą.

Nie! On uczciwy i serdeczny, i otwarty. Byłby jej był z pewnością to napisał. A przecież mówił jej tak często, że ją kocha . . . Nie oszukiwałby

jej pokryjomu.

Czyż nie zaręczał jej tak często, że ona, ona jedyna jest w stanie dać mu szczęście?

Nie! to wszystko plotka i kłamstwo. Był nieskończenie szlachetny i tak niezmiernie delikatny. . .

Serce jej biło gwałtownie. Oddychała głęboko. Oczy zapełniły się łzami. Dziwny triumf rozkoszy rozpierał jej piersi: jeszcze kwadrans, a ujrzy go: będzie patrzyła w jego tajemnicze oczy, będzie słuchała jego dziwnego głosu. Och, jak go kochała, jak niewypowiedzianie go kochała. . .

Bóg ją wysłuchał. Zakupiła trzy msze, by mu tylko szczęśliwie powrócić pozwolił. Jak zranione zwierzę czołgała się u stóp Ukrzyżowanego, błagała go i płakała, i kajała się. Czyż Ojciec niebieski nie chciał jej wysłuchać? Obraziła go?

I pościła co piątek i co sobotę, aby pokutować za grzechy, których nawet nie znała. Ale przecież nawet najsprawiedliwszy grzeszy na dzień siedem razy. A może była jej miłość do Falka grzechem? Ależ nie! Teraz przecież Falk przyjechał. Bóg ją wysłuchał. . .

Wstała. Tak było parno na werandzie. W całym ogrodzie zalegała taka straszna parność. Wyszła na drogę, która prowadziła do pobliskiego miasteczka. Tamtędy musiał Falk nadejść.

Nagle drgnęła. Cała jej krew zbiegła do serca. Drżała jak listek osiki.

Widziała go. To on! on z całą pewnością. Przykucnęła przy płocie. Coś ją pchało naprzód. Najchętniej rzuciłaby mu się na piersi.

Och! nie, nie, nie! Tylko co najwyżej chciałyby mu pokazać, jak się nieskończenie cieszy. Nie chciała ukrywać przed nim, jak niezmiernie jest uradowana. Powinien widzieć, jak jest szczęśliwa.

Nie: to też nie! Nie powinna tego pokazywać, nie wolno jej było tego pokazać. . .

— Nie, nie mogła tego zrobić. . . Ucieknie! teraz tu na drodze nie spotka się z nim. . . Ogień buchał w jej skroniach, czuła, jak ją parzy gorący blask jego oczu. Ani jednego słowa nie mogłaby wykrztusić na powitanie.

Wbiegła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko, wgrzebała się twarzą w poduszki i załkała na głos. . .

Falka przywitał pan Kauer bardzo serdecznie. . .

— Dziwne, że pan jeszcze istnieje! Swoją drogą, to bardzo piękne, że pan Falk przypomniał sobie wreszcie swe rodzinne strony. Tak długo oczekiwaliśmy pana. . .

Falk był niezwykle uprzejmy.

Ustawicznie myślał o rodzinnych stronach. Ale miał taką ogromną pracę. Jeszcze w ostatnich dniach musiał zrobić korektę z trzydziestu arkuszy swego nowego romansu. A to podła praca, najgorsza, jaką zna. Teraz jest niezmiernie szczęśliwy. Taki jest wesół, że znowu jest u matki, i że czuje miłość naokoło siebie; a miejsce, w którym się człowiek urodził, to niesłychanie piękna rzecz. . .

— Było mi to strasznie potrzebne. Jestem niesłychanie zdenerwowany i zupełnie ogłupiałem. Ale przy matce to wszystko będzie niebawem dobrze. Matka to obok kunsztu drukarskiego najpiękniejszy wynalazek. . .

Pan Kauer był bardzo szczęśliwy, że go znowu widzi: miał silną tęsknotę znowu z nim pogadać. Tu na tej wściekłej prowincji świat deskami zabity. Zupełnie niewiadomo, co się dzieje na szerokim świecie. Teraz musi mu pan Falk wszystko szczegółowo opowiedzieć.

Przyniesiono gąsior wina.

Pan Falk powinien dużo pić. To wino bardzo dobre. A choćby w Paryżu owies z ryżu robili, to takiego wina dać nie mogą. Strasznie przyjemna rzecz pić z takim inteligentnym kompanem.

Niezadługo pograżyli się w ciekawej rozmowie, w jaki sposób hodować najlepiej szparagi.

— Pan, panie Kauer, powinien spróbować najnowszej metody. Dla każdego korzenia szparagowego trzeba pozostawić jeden metr ziemi, okopać naokoło. . .

Drzwi się otworzyły. Maryt weszła do pokoju. Była bardzo blada, wyglądała, jakby się przed chwilą była umyła.

Falk poskoczył i ujął ją za obie ręce.

— Nigdy się nie spodziewał, że ją tak szybko ujrzy. Boże, ile to już czasu upłynęło. . .

— Już się pana nie spodziewaliśmy. . . obróciła się i poczęła szukać czegoś w framudze okna. . .

Falk mówił dalej o hodowli szparagów, ale był coś niespokojny. . .

Kauer pilnie uważał i ustawicznie zaręczał, że jest mocno uradowany. Nieszczęścia spadały na niego jak grad: kiepskie żniwo zeszłego roku, to znowu żona zachorowała, musiał ją wysłać do wód, gdzie już od pół roku przebywa. I tak musi Maryt prowadzić całe gospodarstwo, a z biedą dają sobie radę. Pan Falk będzie tak niezmiernie łaskaw wybaczyć na chwilę, bo musi wyjść na jaką godzinę. To czas zasiewek. . .

Falk pozostał z Maryt sam na sam. . .

Patrzała pilnie przez okno; Falk chodził po pokoju i pił jeden kieliszek po drugim. Podszedł ku niej.

Drżała, zmieniała ustawicznie kolor twarzy.

— No, cóż pani porabiała przez ten cały czas?

Falk uśmiechał się bardzo przyjaźnie. . .

— Nic nie robiłam. Dobrze mi się wiodło, bardzo dobrze. . .

Spuściła oczy i nagle spojrzała obco na niego.

— To rzeczywiście bardzo dziwne, że pan nakoniec przyjechał. Cóż pana do tego skłoniło?

— He, widzi pani, jak się tak człowiek lumpował jak ja, jak nerwy się tak dziko rozstroiły, to dostanie się ochoty wypocząć przy matce. Widzi pani, mimo wszystko pozostanę tem dzieckiem, co innej ucieczki nie zna prócz matki. . .

Zamilkli. Falk chodził zamyślony.

— Kocham bardzo moją matkę. Ale nie mogłem przyjechać. Były dziwne stosunki, które mnie powstrzymywały. . .

— A tak, słyszałam coś o tych dziwnych stosunkach.

Mówiła z ironicznym naciskiem.

Falk spojrzał na nią zdziwiony, ale zdawał się być przygotowany na to.

— No tak. . . mój Boże! temu nie mógł zapobiedz, by nie roznoszono o nim najdzikszych plotek. Zresztą nic go nie obchodziło, co o nim mówiono.

Znowu umilkli. Falk nalał sobie świeży kieliszek i wypił go jednym tchem.

Spojrzała na niego twardym spojrzeniem. Był bardzo blady, a oczy jego były zapadłe i miały dziwny, gorączkowy blask. . .

Musiał dużo cierpieć, pomyślała. Zmiękła.

— Wybacz mi pan. . . Doprawdy nie chciałam z panem mówić o tych rzeczach. Nie mam nawet prawa mówić o tem. To mnie przecież nic obchodzić nie powinno.

— No tak, tak. . .

Falk był bardzo zmęczony.

— Tak, to dziwne. . . Hm, jechałem całe dwie doby, dwie noce nie zmrużyłem oka, ale nie miałem spokoju: załedwie przyjechałem, musiałem widzieć panią. . .

Pierwszy dzień rozkwitającej wiosny kończył się. Stali przy oknie. Patrzyli na rzekę i na pagórki za rzeką, obrosłe leszczyną. Z rzeki wznosiły się mgliste opary, pokrywały pagórki, wsiąkały w zarośla, a było jakoby rzeka wystąpiła z swych brzegów i tonią swoją chciała zalać świat cały. I z wolna zanikały górki i zarośla, a cała ta szeroka, lśniaca się przestrzeń mgły zlewała się z krańcami nieba.

Pan Kauer dał tymczasem znać, że mała godzinka potrwa jeszcze jedną godzinkę, ale Maryt oświadczyła, że pan Falk musi koniecznie pozostać na kolacji.

I znowu zostali razem. Falk pił bezustannie. Raz po raz powiedział jakby od niechcienia obojętne słowo.

— Nie bierz mi pani za złe, że tak dużo piję; ale teraz koniecznie pić muszę. Opadłem bardzo ze sił; ale delirjum jeszcze daleko. A zresztą — chciałbym nawet dostać delirjum. . . Pani nie powinna myśleć, że się stał sentymentalny. O, nie! Konstatuję tylko najprostszy fakt pod słońcem, że mam robaka w sercu. Nie jestem szczęśliwy. . . Ale to wszystko takie głupie. Nie bierz pani tego na złotą wagę. . .

Maryt podeszła ku niemu.

— Panie Falk, nie graj pan komedji. Mów pan do mnie zupełnie otwarcie. Kiedy pan tu był przed rokiem — pan wie — wtedy, kiedy pana poznałam. . . wtedy pan mi mówił, że mnie pan kocha. Pisał mi pan to nawet. Mam wszystkie pańskie listy: to mój wielki, wielki skarb. Pan wie, co ja dla pana czuję, pan wie to bardzo dobrze. Oddałam się całym sercem temu uczuciu miłości ku panu. Bądź pan dobry. Powiedz mi pan wszystko. Chciałam stłumić w sobie tę miłość. Wiem przecież, że to wszystko nie ma celu. . . Pan mi sam zresztą mówił, że pan mi nic przyrzekać nie może, że

miłość nasza nie ma żadnej przyszłości. . . Ja nie chciałam, nie żądałam żadnych zaklęć, ani przyrzeczeń. . . Niczego nie pragnęłam od pana. Kochałam pana i kocham, bo kochać muszę. . .

Maryt mieszała się coraz więcej. Chciała mu tak dużo powiedzieć. Ale myśli jej się plątały bez związku.

— Ale nie o tem chciałam panu mówić. Pragnę tylko, by mi pan szczerze wszystko powiedział. Całą, całą bezwzględną prawdę. Tak się straszliwie męczyłam — tak cierpiałam . . .

Falk spojrział na nią zdziwiony.

— No, i o czymże chce się pani dowiedzieć ode mnie?

— Pan już wie; mówią teraz tak dużo o panu, a to przecież nie bez podstawy. . . Prawda to? prawda to? co mówią o tej Francuzce i o dziecku. . . to przecież niemożliwe!

— Co?

— Dziecko. . .

— Dziecko?

Falk przechadzał się dużym krokiem po pokoju.

Zaległo męczące milczenie. Nagle przystanął przed nią.

— No, więc powiem pani całą brutalną prawdę. Chcę być całkiem szczerzy. Tak szczerzy, jak tylko być umiem, a nawet chociażby mi pani miała drzwi pokazać. Więc mam dziecko. Miałem już syna, zanim panią poznałem. A dziecko to cudowna rzecz. Jak żelazny klin wbija się w rdzeń pacierzowy, daje siłę i moc. . . A przecież już rozlatywałem się; byłem gorszy od najgorszych. . . Słuchaj pani spokojnie. Byłem samcem jak wszyscy inni i miałem prawo płodzić dzieci. . .

Był podrażniony.

— No, jeżeli pani nie może na chwilę zapomnieć o swej głupiej pruderji, to niech pani nie wywołuje zwierzeń.

Maryt miała łzy w oczach.

— Wybacz mi pani, ale jestem rzeczywiście bardzo zdenerwowany.

Łzy ściekały jej po twarzy.

— Słodka, złota Maryt! Bądź dobrą! Posłuchaj mnie tak dobrze, jak tylko siostra słuchać umie. A chociażbyś nawet połowy tego nie zrozumiała, co ci powiem, to posłuchaj mnie. . .

— No cóż? Chce pani grać ze mną w ciuciubabkę? Tego stanowczo nie znoszę. Za bardzo panią kocham i poważam. . .

— No, więc dobrze, wie pani już, że mam syna. Kocham go nadewszystko. Matki jego — hm, matki nie znoszę. Byłem tak strasznie zniszczony. Kiedy mi drogę zabiegła, była dobrą dla mnie; mieszkaliśmy jakiś czas razem; no, i stało się. . .

— Boże, Boże — czyż to możliwe?

— Hm, wszystko jest możliwe.

Falk mówił niezmiernie zmęczonym głosem. Przeszedł się parę razy po pokoju i ujął ją za rękę.

— Maryt! powiem ci teraz zupełnie otwarcie. Maryt! nie powinnaś mnie kochać. Prosiłem cię co prawda o twoją miłość, ale wtedy zdawało mi się, że będę ci mógł dać trochę szczęścia. Wierzyłem w to. Chciałem, byś została moją żoną. A tybyś przecie kochała mojego syna. Ale ta kobieta przyczepiła się do mnie jak pokrzywa. Tysiąc razy starałem się odczepić od niej, ale nie umiałem, i już pewno tego nie zdołam zrobić. . .

Falk był silnie podrażniony. Maryt chciała mu przerwać.

— Nie, nie, pozwól mi pani wszystko powiedzieć. Myślałem, że będę mógł ci dać szczęście. Tylko w tej myśli żywiłem twoją miłość, ale nie myśl pani, że jestem łajdakiem. . . Teraz już nie proszę o miłość, wiem, że to straszne, niemożliwe mnie kochać. Ani odrobiny szczęścia nie mogę ci dać. Tylko to jedno: bądź mi siostrą, bądź mi przyjaciółką, jedyna ty moja!

Maryt siedziała oszołomiona.

Falk przykląkł u jej kolan i wziął, i tulił jej rękę.

— Bądź słodka i dobra, Nie możesz być moją kochanką, bądź mi przyjaciółką. . . Nie! przyjaciółką też nie możesz być — nie! pójdę teraz. . . już idę. . . Odpowiedz mi. . . Mam iść? mam? No, bądź zdrowa, idę już, idę.

. .

Ale w tej chwili zerwała się Maryt zrozpaczona.

— Pozostań pan, pozostań! Zrób pan, co się panu podoba, ale ja muszę pana widywać — ja chora, gdy pana nie widzę. O Boże, Boże, jakie to wszystko straszliwe!

Falk rzucił się na nią.

— O nie! na Boga, nie! — Odepchnęła go i wybiegła z pokoju.

Falk siadł przy stole, wypił gąsiorek do końca i patrzył przed się w głuchem zadumaniu. Ciemność dobrze na niego działała.

Zerwał się nagle.

— Dziwna rzecz, że światło tak przestraszyć może. Jestem jednak dziwnie zdenerwowany.

Maryt uśmiechnęła się. Była bardzo zmęczona. Postawiła lampę na stole.

— Ojciec zaraz przyjdzie. Pan musi koniecznie zostać u nas na kolacji. .

.
— A zostanę, zostanę. . . Jestem dobry człowiek. Jestem gentelman. Ojciec pani mógłby robić rozmaite ciekawe przypuszczenia, gdybym tak nagle znikł. . .

II

NA drugi dzień przyszedł Falk znowu.

Był niezwykle uprzejmy — wydawał się być bardzo wesołym. Ale z trudem maskował silne nerwowe podrażnienie.

— Przecież nic między nami nie zaszło? Pani o wszystkim zapomniała? nieprawda? Ja nic nie pamiętam. . .

Maryt uporczywie patrzyła w ziemię.

— Tak, to jest zatrważające. Chwilami tracę zupełnie przytomność — nie! tylko pamięć, a nie jestem pijany. Co prawda, piłem dużo wczoraj, ale przecież nie robiłem wrażenia pijanego człowieka? A może tak? No, to udawałem tylko, że jestem pijany, aby mózż bezkarnie wszystko powiedzieć. Ja często tak udaję. . .

Falk mówił bardzo dużo i śmiał się zbyt często.

Maryt patrzyła na niego zdziwiona.

— Pana musiało spotkać coś niezmiernie przyjemnego?. . .

— Owszem; otrzymałem bardzo przyjemne wiadomości z Paryża. . . moje książki przetłumaczono na język francuski — przyjęto je bardzo przyjaźnie. Cieszy mnie to bardzo. Wprawdzie nie bardzo zachwycam się Francuzami, ale w każdym razie taki Paryż to metropolja całej współczesnej kultury. . .

— A potem — nie! to muszę pani opowiedzieć, to niesłychanie komiczne. . .

Maryt patrzyła na niego. Była zdumioną. Jaki on dziś dziwny.

— Pani wie, że ojciec pani odesłał mnie do domu ekwipażem. No oczywiście, że pani to pamięta. Jedziemy więc, a jedziemy bardzo szybko.

Nagle stanęły konie jak wryte, stanęły dęba i rzą jak piekielne ogiery w bajkach. Stangret wali je batem, ale tylko sprawę pogarsza. Złazi z kozła; ja wychodzę z landary, bierzemy konie za uździce i ciągniemy je naprzód. Ani rusz! konie coraz dziksze, a stangret konstatuje, że konie iść nie chcą. Co

się stało? Ciemność, że możnaby człowieka w twarz uderzyć, a nie wiedziałoby się. kto mi tę przysługę wyświadczył. Chwytam się za serce, macam ostrożnie rękoma i nogami, ale nagle przestało mi serce bić: przewróciłem się o trumnę i przyklęknąłem nogami na jakimś trupie.

Maryt zerwała się.

— Ależ to niemożliwe!

— Nie, nie kłamię. Wołam jak szalony na stangreta. W tej samej chwili wstydzę się mojego tchórzostwa i odnowa chwyta mnie przerażający lęk. Trup jęczy żałościwie. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek miał takie straszliwe uczucie strachu.

— Ale pani zupełnie pobladła. Uspokój się pani. W tem tkwi cały komizm rzeczy, że to nie był żaden trup, tylko mocno zalany chłop. Żona mu umarła, wiózł dla niej trumnę z miasta, a że był bardzo upity i śpiący, ściągnął trumnę z wozu, konie puścił na bożą opiekę, sam położył się do trumny, aby przespać swoje pijaństwo w piękności.

Maryt śmiała się z całego serca.

— Niezmiernie się cieszę, że wzbudziłem w pani tak serdeczny śmiech. Pani powinna się śmiać — cały dzień się śmiać. . . Będziemy się śmieli jak małe dzieci — a ja będę zawsze takim wesołym ulicznikiem jak dziś. . . A może nie jestem dobry? Przecież jestem bardzo przyjemny. No, więc dobrze. . . Już takim pozostanę przez cały dzień.

Falk zaśmiał się i znowu spoważniał. Chryste Panie, jakie cudowne to dziecko!

— Maryt, rozkoszy moja, chciałbym się u nóg twoich położyć jak kobierzec perski. . .

— No, nie marszcz czoła, już nigdy nie będę mówił takich rzeczy. . .

Zwilgotniały oczy Falka. Maryt patrzyła na niego z niewymowną miłością.

— Czemuż pan tak posmutniał? Ja na to patrzeć nie mogę. Jestem chora, gdy widzę, że pan taki smutny.

— Ale gdzież tam! Przecież jestem bardzo, bardzo wesoły. . .

Milczeli.

— Przejdzie się pan? Pójdziemy na spacer nad brzeg jeziora.

— Z wielką, wielką przyjemnością.

Był cudowny dzień wiosenny.

Zazieleniało przed paru dniami. Drzewa wypuszczały listki, a górki na przeciwnym brzegu pyszniły się zielonym kobiercem zieleniejącej trawy.

Szli, a nogi ich grzęzły w wilgotnym, miękkim piasku.

Falk milczał; od czasu do czasu zbierał płaskie krzemienie na drodze i zbijał kaczki na jeziorze. Twarz jego była poważna jak twarz człowieka, który ma straszny smutek w swoim sercu.

Szedł, patrzył przed siebie; zbierał skrętnie płaskie kamyczki i rzucał je na jezioro.

Maryt patrzyła na niego coraz to smutniejsza.

— Dlaczego mnie pan tak męczy? Czemu pan nic nie mówi? Nie jestem w stanie znieść tych długich pauz.

— Tak, tak, tak. . . — Falk zdał się ocknąć z długiego snu. Zaraz, zaraz. . . Opowie jej cudowne rzeczy. . .

Śmiał się niezmiernie wesoło.

— Opowiedzieć pani coś o Paryżu? Widziałem tam wielkich i sławnych ludzi. A wie pani, co to znaczy być wielkim i sławnym człowiekiem? No, jeżeli pani wie, to nie potrzebuję tłumaczyć. . .

Dziwni są ci wielcy i sławni ludzie — dużo ludzi tego gatunku spotkałem. A przede wszystkim jeden z nich. . . Był niezrównany!

Nienawidził białogłów, bo je tak nieskończenie kochał. Wybacz mi pani określenia na całą jego naturę, ale to tak niezmiernie charakterystyczne — był on jak wściekły ogier. . .

Nie, nie. . . nie gniewaj się pani, już pani nigdy nie posłyszysz podobnego słowa ode mnie. Już nie będę pani opowiadał o tych rzeczach. Wiem przecież, że pani jest tęgą katoliczką, a tego wyrazu, dalibóg, nie można znaleźć w pismach ojców kościoła.

— A więc ten wielki człowiek — niech się pani nie lęka, nie powiem nic złego — powiedział sobie: poco mam patrzeć teleskopem na księżyc, kiedy również dobrze mogę go obserwować mikroskopem. Bo ten wielki człowiek był dziwnie paradoksalny. Wszystko chciał inaczej robić jak inni ludzie.

Ale, Boże kochany, jaka pani piękna! Bardzo, bardzo panią Kocham. Pomnisz? Już przeszłej wiosny cię kochałem.

A więc ów człowiek przewrócił tubę mikroskopu, tak że soczewka była u góry, nasączył kilka kropel rtęci, wskutek czego można oczywiście zdobyć pewne powiększenie przedmiotów — no! i patrzy na księżyc. . .

Księżyc przedstawia mu się naturalnie w dziwnie mglistych kształtach. Ale z taką bagatelą dał sobie ów dzielny mąż radę. Ta plama tam, czyż to nie Europa? a ten czworobok, toć to najoczywistsza Australia. . .

Jak pani cudownie się śmieje! Oczy pani pogłębiają się w taki słodki, delikatny sposób. . .

Ale prawda: a więc on sławny i wielki człowiek wyciągnął z tego zadziwiającego zjawiska następujący wniosek: księżyc niema ani gór, ani kraterów, ani wulkanów. . . księżyc jest poprostu szklistą płytą, w której się nasza ziemia odbija.

Maryt śmiała się jak dziecko.

— Jak pan tych wielkich ludzi ośmiesza. Nie ma pan żadnego szacunku przed nimi?

— Nie! tego zupełnie nie mam. Widziałem ich wszystkich i we fraku i w negliżu, ale zawsze są równie śmieszni. Biorą się tak straszliwie na serjo, kroczą między ludźmi z sztywną pozą gotyckiej architektury: stawiają się na piedestałach — och! to niezmiernie śmieszne.

Falk zamyślił się. . . Raz tylko widziałem wielkiego człowieka, którego bardzo uwielbiam.

— Opowiedz mi pan, opowiedz. To musi być ciekawy człowiek, który panu, panu Falkowi imponuje.

— Tak, tak, to rzeczywiście dziwne.

Ale ten człowiek był rzeczywiście wielki. Spotkałem go w Krystjanji — spędziłem raz całe lato w Norwegji. Był niski, szczupły, wyglądał niepokaźnie. . . był nadzwyczajnie cichy i miał duże, dziwne oczy. Nie miały one tej obowiązkowej bystrości, tego obowiązkowego ognia, jaki płonie w oczach zwykłych wielkich ludzi, było w nich raczej coś, co mi przypominało złamane skrzydła ptaka — wielkiego, królewskiego ptaka. Grał pięknie na skrzypcach; piliśmy dużo, a potem poszliśmy do jednego znajomego. Grał tam zupełnie w zmroku; miał tę wielką wstydlivość przeczulonej duszy. Nigdy nie słyszałem tak nagiej muzyki. Było jakbym miał przed sobą drgające, świeżo z piersi wyrwane serce gołębie. Był w tej

muzyce ból, co piersi rozpiera i w krtani dławi. Maryt, Maryt — stanęłaś mi przed oczyma — tyś, tyś była tem gołębiem sercem; tyś była tym tonem, co krzyczał za szczęściem, a zamierał w cierpieniu.

O pozwól, pozwól mi mówić, niechże raz przecież wszystko wypowiem.

..

— Nie, nie, stanowczo nie; przyjdzie znowu do takich scen jak wczoraj. Pan jest tak zdenerwowany — trzeba być rozsądnym. . .

Falk umilkł. Maryt połykała łzy. Szli długi czas w milczeniu.

— Pan mnie prosił wczoraj o moją przyjaźń, a więc jako przyjaciółka mam pewne prawa.

— Naturalnie.

— Czy pan rzeczywiście żonaty?

— Nie, mam tylko dziecko, które niezmiernie kocham. Powrócę do niego, zabiorę je ze sobą gdzieś do północnych Włoch i tam będę z niem razem i dla niego żył. Tak! to mój nieodwołalny plan. Kocham to dziecko nieskończenie — nie znam nic, co bym był tak ukochał.

Maryt była podrażniona, ale milczała.

— Dziecko jest rzeczywiście cudowne. . . i Falk rozpoczął mówić o dziecku z niezwykłą tkliwością i miłością, a równocześnie badał wrażenie, jakie to wszystko na Maryt robi.

Maryt cierpiała najwidoczniej.

— A prawda! Tego pani nie wie. Byłem w Paryżu bardzo chory, zatrąłem się nikotyną. Byłbym dziś już na łonie Abrahama, gdybym nie był miał tak świetnej opieki.

— A któż pana pielęgnował?

— Tak, to bardzo dziwna panienska. Jest niezmiernie inteligentna i gra bardzo pięknie na fortepianie.

— To matka tego dziecka?

— O nie! Z matką zupełnie się nie stykam.

Maryt spojrzała zdziwiona.

— Ale pan przecież mi wczoraj mówił, że pan się jej w żaden sposób pozbyć nie może. Mówił pan, że przyczepiła się do pana jak pokrzywa.

— Rzeczywiście tak powiedziałem? — Falk był trochę zmieszany.

— Tak! to pan mówił i dodał pan, że to tylko stoi nam na przeszkodzie do naszego szczęścia.

Falk zamyślił się.

— To pewno byłem pijany. Nie rozumiem, jak mogłem coś podobnego powiedzieć. . .

Udawał, że jest bardzo zdziwiony.

Maryt musiała mu każde słówko powtórzyć.

— Tak, widocznie byłem pijany. Niech pani nigdy nie zważa na to, co mówię w takim stanie. Przedziwnie wtedy zmyślam.

Maryt spojrzała na niego podejrzliwie.

— Wierz mi pani; opowiadam wtedy niesłychane rzeczy. Nie, nie— matka mego dziecka zniknęła bez wieści. Przypuszczam, że jest modelką i mieszka razem z jakimś malarzem.

Maryt dziwnie uradowała ta wiadomość.

— Odczepiłem się od niej dość szybko. Panienska, która mnie w mej chorobie pielęgnowała, to zupełnie inna, nazywa się panna. . . Perrier. Dwa tygodnie siedziała przy mnie dzień i noc. Moje najstraszliwsze kaprysy znosiła z cierpliwością anioła, grała mi cudownie na fortepianie. . . dzień i noc była przy mnie.

— Czy mieszkała razem z panem?

Falk udawał bardzo zdziwionego.

— No i cóż w tem dziwnego? W Europie — podkreślił to słowo — w Europie panuje wielka wolność w stosunku mężczyzny do kobiety. Tam nie ma tych głupich przesądów, tej przedpotopowej staroświecczyny jak u nas. Tu może być panienska nawet zaręczona publicznie przed całym światem, a pomimo tego włączą się za zaręczoną parą krok w krok matka i wszystkie ciotki. Nie — w Europie niema przepisów w sprawach miłości. Tam jest każdy sam dla siebie przepisem i prawem.

Boże najdroższy, jak tu ciasno, nieznośnie ciasno!

Tu są prawa i granice, i płoty, i reguły, i regułki; ludzie skrępowani idjotycznym kaftanem; to ci wolno zrobić, tego ci nie wolno zrobić, a raczej w waszym żargonie: to się godzi, a to nie, albo też: to nie wypada. . . he, he, — nie wypada!

Falk śmiał się wzgardliwie:

— Czemu się pani wczoraj tak gwałtownie wrywała? Czy to też nie wypada pocałować siostry lub przyjaciółki?

— Nie, ja nie umiem tego zrobić. Musiałabym sama sobą pogardzać. Nie mogłabym panu spokojnie w oczy spojrzeć. A czyż pan miałby wtedy chociaż odrobinę szacunku dla mnie?

Falk śmiał się na cały głos.

— Szacunek? Szacunek? Co to jest? Więc rzeczywiście istnieje takie komiczne słowo? Niestety, nie znam ani tego słowa, ani takiego pojęcia. Znam tylko wolne kobiety, dla których wola ich — ich tylko jedynie jest jedynym prawem, i znam kobiety, które są niewolnice, nie mają własnej woli, tylko muszą słuchać, co im świat rozkazuje. Tak, znam kobiety, które mają moc i pogardę dla motłochu i dosyć piękności w swej duszy, by iść tam, dokąd ich instynkt prowadzi — i kobiety — ot! taką trzodę, którą można kupić i sprzedać na targu małżeńskim wedle potrzeby.

— A więc pan ceni niesłuchanie ową panią, co porodziła panu dziecko, a potem poszła do drugiego?

— Nie cenię jej, bo ja wogóle nie znam moralnego wartościowania. Poszła tam, dokąd jej miłość kazała iść — i to bardzo piękne.

— Nie, to wstrętne!

— Hm, jeżeli się pani tak to nazwać podoba.

Maryt była bardzo rozdrażniona.

— A ta panna. . . jakże się nazywa?

— Panna Perier.

— Więc też i panna Perier powinna być dla pana najdoskonalszym ideałem.

— A tak! to najinteligentniejsza kobieta, jaką poznałem.

Maryt drgnęła.

— No, więc czemuż pan jej nie kocha?

— Że jej nie kocham to pochodzi stąd, że moja płeć — a więc organ, którym kochamy, jest niezawisły od mózgu. Mogę kogoś uważać za najpiękniejszego człowieka, a mimo to w nim się nie zakochać.

— A więc to są kobiety, które pan uwielbia!

Maryt płakała prawie.

— A ja wiem, ja wiem, że ta panna Perier nic nie warta.

Falk wzruszył pogardliwie ramionami.

Był bardzo sztywny i dawał dotkliwie do zrozumienia, że nie warto o tem dalej mówić.

Maryt cierpiała strasznie.

Jedno pytanie gryzło ją nowym bólem. Dlaczego on jej wczoraj zmyślił całą tę historję o dziecku i tej kobiecie?

— A więc matka uciekła od dziecka? bądź pan szczery. Całą noc się tak męczyłam . . .

— No, więc cóż pani chce tak gwałtownie wiedzieć?

— Muszę wiedzieć, muszę!

Falk spojrział na nią zdziwiony.

— Przecież już raz to pani mówiłem.

Tym razem mówił tak szczerem, przekonywającym głosem, że Maryt mu wierzyła. Była mu wdzięczną, patrzyła na niego z niemą prośbą w oczach, prośbą dziecka, któreby chciało przeprosić, ale się jeszcze waha.

Falk nie spojrział na nią ani razu. Patrzył uporczywie w ziemię.

Tak doszli do furtki ogrodu.

— Przecież pan zostanie na kolacji. Ojciec mnie prosił, bym pana zatrzymała. Koniecznie mam pana zatrzymać.

Ale Falk był stanowczy. Wymówił się bardzo grzecznie i bardzo zimno.

Uklonił się nadzwyczaj poważnie i poszedł.

Maryt patrzyła za nim. Przecież choć raz się odwróci.

Ale Falk poszedł, zniknął na skrócie i nie odwrócił się.

Mój Boże, mój Boże, załkała Maryt, cóż ja mu zrobiłam?

Poszła do swego pokoju, zapaliła lampkę przed obrazem Matki Boskiej, klękała i poczęła się żarliwie modlić.

III

FALK nie szedł do miasta.

Skręcił nad jezioro, szedł wzdłuż brzegu i patrzył zadumany.

Naprzeciwko zapadał las w ciężką wieczorną żałobę; jezioro jak lustro czyste i wygładzone odbłaskiem mroczniejącego nieba.

Stanął.

Jakżeż mógł to wszystko zapomnieć, co wczoraj mówił; cała ta historia stała się nędzną komedią, głupią dziecinną komedią.

Ale Maryt — hm — zawierzała mu na ślepo, nic nie zauważyła, wierzyła we wszystko, co mówił.

Uspokoił się znowu. Usiadł nad jeziorem i patrzył bezmyślnie w dal.

W jego mózgu kłębił się cały chaos myśli, tylko raz po raz prześlizgnęły się jakieś obrazy, pojedyncze oderwane wrażenia.

I znowu wstał i szedł — powoli, z trudem prawie; chciał sobie coś przypomnieć, zmuszał się, by coś obmyśleć, do końca przemyśleć.

Ciemniało. Z okolicznych wiosek migotały światełka. Raz po raz zaturkotał wóz na drodze, to znowu wsłuchiwał się w świergot koników polnych i rzechotanie żab w stawach.

Czegóż chciał właściwie?

Przecież nie był zawodowym uwodzicielem. Nigdy nie miał tej śmiesznej ambicji, uwieść kobietę na to, by ją tylko posiadać.

Myśli się nie chciały rozplątać — siadł znowu i patrzył na coraz szybciej ciemniejący las.

Coś poczęło mu w duszy świtać. I z wolna wyłonił się obraz kobiety z nieskończoną gracją wymierających rodów magnackich — zdawało mu się, że wyciąga się ku niemu długa, wąska ręka; a niezmiernie dobre, słodkie oczy wświecają mu się w krew.

To była jego żona — he, he, panna Perier.

Uśmiechnął się szyderczo, ale zaraz spoważniał.

Kochał ją. Och, jak ją strasznie kochał!

Nagle ukłuło go coś. Ha, ha, ha — ten, który ją miał przed nim, stanął mu przed oczyma.

Zerwał się wściekły. Zdjął go straszny ból.

Boże, Boże, tylko o tem nie myśleć. Już nie — już nigdy! Czyż nie pozbędzie się już nigdy tego straszego bólu, tych wściekłych wspomnień?

No i cóż ona winna, że nie poznała go, zanim się temu pierwszemu oddała — instynkt ją zawiódł — pomyliła się — przecież go nie kochała. . .

Nie, nie, nie! — Ona taka piękna — miała inteligencję mężczyzny, rozumiała go, jak nikt inny.

Ujrzał ją nagle taką, jaką ją pierwszy raz widział. He, he, narzeczoną Mikity. . . Roztop czerwonego światła — nieokreślony żar wokoło oczu — ten ruch ręki i przymglony głos: „to pan, panie Falk. . .“

Tak to ja, droga Izo — i odrazu cię pokochałem.

Tak, kochał ją rzeczywiście i tęsknił za nią. Chciałby siedzieć w swojej pracowni w tym wielkim fotelu, trzymać ją na kolanach, czuć jej ramiona wokół swej szyi.

Dlaczego tylko nie mógł zapomnieć o Maryt?

W największej rozkoszy miłosnej widział, jak twarz jego żony przekształcała się, przetwarzała w małą, wąską twarzyczkę — o, to Maryt, Maryt. . .

I nagle opadał, bezwładniał, patrzył jak błędny w tę twarz, a myśli jego zwracały się uporczywie do tych paru tygodni, które razem spędził z Maryt, gdy przed rokiem właśnie matka go w ważnych sprawach zawezwała.

I znowu uczuł silną tęsknotę za tą miłością, co mogła tylko męką się stać, straszną męką pragnienia kobiety, której osiąść nie można.

Och, jaki był szczęśliwy z swoją żoną, zanim poznał Maryt. Szczęśliwy? Hm, hm. . . znowu stanął mu przed oczyma Mikita. . . jej narzeczonej. — Drgnął i otrząsł się. . . No dajmy na to — szczęśliwy, kochał ją, kochał. . . A teraz stała Maryt między niemi, rozpychała ich, i wciąż od nowa musiał ją zмагаć w swem sercu, by dotrzeć do swej żony.

Dlaczego znowu powrócił? Czegoż chciał od Maryt? Czemuż ją okłamywał? Dlaczego grał całą tę komedię?

Gdyby tylko to mógł zrozumieć!

Miał przecież jakiś cel na oku. Gdzieś poza wszelką logiczną świadomością musiał tkwić ukryty cel. . .

To чуć, co w głębi czyhała na nową ofiarę?

Nie, niemożliwe, toby było ohydą, zbrukać tę czystą duszę gołębią! Tegoby nigdy nie zrobił.

Za dwa tygodnie powróci do żony. Gdyby Maryt wziął, miałyby najstraszliwsze wyrzuty sumienia.

O, to obrzydliwe sumienie!

Siedzieć w Paryżu i myśleć ustawicznie o niej: teraz leży w krzyż rozciągnięta na ziemi, wije się z bólu i błaga Boga o łaskę. Jednej chwili nie miałyby spokoju. Nie, toby było straszliwe: całe życie z tą jedną myślą, tym jednym obrazem, tym wiecznym niepokojem i męczarnią.

Szedł wolno, głęboko zamyślony.

Całkiem już ściemniało, a z nad łąk powstawały mgliste opary, przesycone światłem księżyca.

Stanął, patrzył na to srebrne morze i myślał o czymś, co sobie napróżno przypomnieć usiłował.

Ani jednej jasnej myśli, tylko ustawicznie to wściekłe pytanie: czegoż właściwie chciał?

Maryt ujrzał nagle. Cudownie wyglądała, jak siedziała na kamieniu z czerwonymi refleksami światła, padającymi na jej twarz od ronda kapelusza letniego. Taka smagła i wiotka. . .

Sumienie — ha, ha, sumienie! Boże najdroższy, ten głupi śmieszny nadczyłowiek! Pan profesor Nietzsche zapomniał o całej tradycji i kulturze, która tysiące wieków potrzebowała, by sumienie wytworzyć. He, he, naturalnie głupim rozumem można nawet sumienie z rachuby wyeleminować; rozumem możnaby, jeżeli się człowiek weźmie logicznie do rzeczy, nawet sumienie przewyciężyć. A jednakowoż nie można. Ach, jaki śmieszny ten nadczyłowiek bez sumienia!

I znowu myślał o Maryt. Interesował go ten problem. Ten problem podwójnej miłości.

To było jasne jak słońce: kochał obydwie. Bez wątpienia. Nie ma się czem łudzić. Jeżeli pisał gorące, o! strasznie gorące listy miłosne do swej

żony, to nie kłamał, bo ją rzeczywiście kochał, a jeżeli parę godzin później zapewniał Maryt, że ją kocha, to też, Bóg widzi, nie kłamał.

Roześmiał się na cały głos.

Ale poza tym śmiechem czuł dotkliwy ból, zjadliwą wściekłość. . .

A przecież miał prawo kochać Maryt. Dlaczego nie? Któż mu to może zakazać? Czy głupie prawa moralności, wytworzone przez motłoch, miałyby być silniejsze od potęgi jego uczucia?

Dlaczego nie miałby jej uwieść, jeżeli ją pragnął? Dlaczego nie miałby jej pojąć, jeżeli ją kochał, a ona jego?

A przecież go kochała. Więc cóż stało na przeszkodzie jego pragnieniu? Moralność? Święty Boże, cóż to jest moralność? Nie znał innej potęgi, prócz potęgi uczucia — a w tem uczuciu, które mu teraz piersi rozpiera, nie było żadnego prawa, coby wolę pętało.

Szedł ścieżką obok cmentarza.

Na cmentarzu szumiały liście srebrnych topoli z tajną, upiorną powagą. Na ciemnym tle nocy odcinały się białe marmurowe płyty nagrobków. Zdjęło go dziwne przejmujące uczucie. Ten złowrogi szum drzew — coś przypominało mu taniec szkieletów.

Śmieszne, że te idjotyczne legendy, jakimi lud śmierć postaciuje, takie wrażenie jeszcze na nim robią.

Był silnie zdenerwowany.

Myśli jego plątały się coraz bardziej. Był zbyt zmęczony. Żadnej myśli nie mógł logicznie przeprowadzić. No, i pocóż do diabła?

Na co ta cała głupia logika? To, co w duszy jego działało, to, co wiązało jego sensytywne nerwy z motorycznymi, to, co się kryło poza świadomością, miało inną, osobną logikę, kpiącą sobie z wszelkiego świadomego rozumowania.

Szedł przy murze klasztornym. Staął i patrzył na białe, wysokie mury.

Tak! przed rokiem wyszła z klasztoru. Tam ją wychowano — ha, ha, — wychowano! Zniszczono, zniszczono, skępowano powijakami moralnych i religijnych przepisów. Teraz się w nich dusi, jednym krokiem nie może się wolno ruszyć.

Dlaczego nie może mi powiedzieć: Patrz, kocham cię, weź mnie!

Ha, ha, — znowu ta śmieszna logika rozumu!

Ale on będzie silniejszy — on już wypleni z jej duszy to zielsko przesądów i praktycznej religii. Zmusi ją. Będzie jego niewolnicą — nie, on ją dopiero zrobi wolną — i siebie też.

Bo czyż nie był niewolnikiem? Niewolnikiem swej żony; niewolnikiem sumienia, starych przesądów, co teraz wypełzają jak glisty po wiosennym deszczu. . .

Zobaczy, kto silniejszy — on, lub też ukrzyżowany Rabbi!

Dzika energia rozsadzała mu czaszkę.

Szedł szybko, coraz szybciej.

Przyszedł do domu jak skąpany w pocie. Matka czekała na niego.

— Ależ złota, kochana mam, czemu nie poszła mama spać?

— Widzisz, mam taki lęk, jak gasisz lampę. Tyle już nieszczęść wskutek eksplozji. . .

— Ale przecież mama nie może do Paryża jeździć po to, by mi lampę co wieczór gasić.

— No tak, niestety, nie mogę. Zresztą, masz rację, ale matka — to widzisz. . .

— Tak, tak — matka. . . To święta rzecz, mieć matkę.

Falk pocałował jej obie ręce.

— Ma mama trochę koniaku ?

— Mieć, mam, ale daję ci z wielką przykrością. Pijesz dużo, a jesteś tak czy tak silnie nerwowy.

Falk się śmiał.

— To właśnie najlepsze lekarstwo. Zresztą, mam trochę gorączki, a alkohol strąca gorączkę.

Matka przyniosła flaszkę koniaku. Falk zamyślił się głęboko. Wreszcie zdobył się na postanowienie.

— Więc, droga mam, muszę mamie coś powiedzieć. Tak długo tałem przed tobą, ale wreszcie męczy mnie ta tajemnica. . . Musi mi tylko mama przyrzec, że mnie spokojnie wysłucha . . .

— Jak najspokojniej, moje dziecko.

Falk wypił kieliszek koniaku i pocałował matkę w rękę.

— Więc, droga mam, ożeniłem się.

Pani Falk patrzyła chwilę w osłupieniu. W jej dużych, mądrych i dobrych oczach zamigotał lęk.

— Nie, mój Eryku, takich żartów nie rób ze mną.

— Ależ to prawda, moja mammo. Ożeniłem się, bo ją kochałem; to panienka z bardzo dobrego rodu — no, i ona mnie kochała, więc poszliśmy do urzędu stanu cywilnego i zrobiliśmy kontrakt ślubny.

— Jakto? Bez kościoła?

— Oczywiście. Naco kościół potrzebny w takich razach? Zresztą, mama zna moje przekonania, nigdy ich nie ukrywałem — prawda! żona moja jest luteranką.

— Chryste Panie! Luteranka! W oczach pani Falk zaświeciły łzy.

Ale Falk ujął jej ręce, całował je, mówił tyle i tak gorąco o swem szczęściu, wreszcie nie wiedział sam, co mówił, ale stara pani się wreszcie uspokoiła.

— Czemu już dawniej jej tego nie powiedział?

— POCO? Małżeństwo nie ma dla mnie religijnego znaczenia — to prosty kontrakt, by zapewnić żonie ekonomiczną pozycję, i ochronić ją od nagabywań policyjnych. . .

— I czy doprawdy żyje razem ze swoją tak nazwaną żoną?

— Tak nazwaną?

Falk był bardzo zagniewany.

— No, oczywiście. Mama powinna się przyzwyczaić, by szanować państwowe instytucje na równi z kościelnymi. A zresztą, mówił, proszę mamę bardzo usilnie, by mama nikomu o tem nie mówiła, zupełnie nikomu. Nie chcę, żeby się ktokolwiek mieszał w moje sprawy prywatne. Tegobym nigdy mamie nie przebaczył.

— To ci z przyjemnością przyrzec mogę, że nikomu nie powiem. W twoim i moim własnym interesie nie powiem. Coby ludzie na to powiedzieli! Nie mogłabym się na ulicy pokazać. . . luteranka!

— Tak, tak, mamucho, — ludzie, ci ludzie. . . Ale niech się mama położy do łóżka; z lampą będę się bardzo ostrożnie obchodził. Dobranoc, mammo.

— Dobranoc, moje dziecko.

Teraz począł Falk odnowa myśleć.

Siadł. Mózg jego pracował z niesłychaną jasnością.

Cóż go pchało do Maryt z taką nieprzepartą siłą?

Tylko chuć zmysłowa?

Ale przecież było tysiąc piękniejszych kobiet, które byłby mógł dostać z większą łatwością. I cóż chciał od Maryt, od tego płciowo głuchego dziecka?

— Płciowo głuche dziecko —tak, to jedyne określenie dla Maryt.

Toż to była rzeczywista miłość? Miłość, jaką uczuwał dla swej żony? Jaką dopiero poznał przez swą żonę?

Nie, to niemożliwe.

Wstał i chodził po pokoju.

To musiał sobie wreszcie wyjaśnić.

Starał się, by myśleć zupełnie czysto i logicznie.

Mój Boże! Jak często przemyślał ten sam bieg myśli. Wciąż od nowa z coraz to nowymi argumentami, coraz subtelniejszą i delikatniejszą psychologią.

A więc! po pierwsze.

Zaśmiał się serdecznie. Musiał myśleć o swoim współuczniu, który zawsze, o cokolwiek go się pytano, rozpoczynał tem słowem: po pierwsze. . . ale na tem też się zwykle kończyło.

Głupstwo!

Tak, tak — ten pierwszy raz, kiedy się z Maryt zapoznał. Ta dziwna halucynacja zapachu róż i czegoś dziwnie mistycznego. . .

Z niesłychaną szybkością przebiegło przez jego mózg dawne, dawno już ukryte wspomnienie. Widział wielki pokój; w pośrodku trumnę. Gromnice, wielkie, woskowe gromnice naokoło trumny. Cały pokój pełen białych róż, wdziwiających odurzający zapach.

A potem ogromny korowód, który zwolna posuwał się ku kościołowi na górcę. Cudowny wieczór letni. Wszyscy mieli pochodnie lub świece w rękach. . . Tuż obok zgasił podmuch wiatru jakąś gromnicę. To jedno, co jego uwagę uwięziło. Potem postawiono trumnę na katafalku. Ośmiu księży w czarnych dalmatykach i ornatach stało naokoło katafalku. . . ale wokół strumieniem płynął zapach białych róż.

Wreszcie zrobił dziwne odkrycie.

Białe róże miała Maryt w swoich włosach.

Falk zamyślił się.

Toż to białe róże zrobiły, że ją pragnę?

W jaki sposób połączyło się moje pragnienie z tem wspomnieniem?

Ten drugi, nieznajomy w nim — rozumiał to daleko lepiej. Od początku było ukryte w nim jakieś płciowe wrażenie i zostało wywołane przez róże, które Maryt miała we włosach.

A w jaki sposób — raczej, jaki związek miał zapach róż z jego płciowym pożądaniem?

Jaki związek miało wrażenie, odebrane w najrychlejszych latach z pragnieniem dojrzałego człowieka?

Nie wiem, nie wiem, szanowna publiczności. . .

No i cóż dalej?

Druga dziwniejsza rzecz.

Ich ręce spotkały się. Zwykłym a może i niezwykłym przypadkiem. Miał wrażenie czegoś nagiego — tak, nagiego ciała dziewczęcego, co się tuliło do jego piersi.

Teraz już wiedział z pewnością, skąd to wrażenie się wzięło. Miał tedy dwanaście lat i kąpał się razem z jednym dziewczęciem.

Szanowna, a wielce cnotliwa publiczność niech się cynicznie nie uśmiecha — nie było w tem nic zdrożnego — była piękność i czystość, i niewinność tych, którzy nie znali jeszcze mieszczańskich jabłek grzechu. . .

Nagle wpadło dziewczę na zator. Wir ją pochwycił.

Rzucił się na nią, zdążył ją schwycić za włosy, przygarnął ją do siebie i wyciągnął z wody.

Wtedy się w nim męczyzna porodził.

Z dziwną tkliwością myślał Falk o tej rówieśniczce, która dziś już była matką dwojga dzieci.

Dziwne, niewytłumaczone. . . że po tylu latach odświeżyły się te wrażenia, które już dawno zapomniał, gdy Maryt zobaczył.

I prawda! To jeszcze sobie przypomniął.

Pamiętał ten czas, gdy stał na strasznych rozstajach, gdy ciężko walczył pomiędzy przyjaźnią a miłością.

Narzeczonego jego żony był jego przyjacielem, nie chciał go zdradzać. Szarpał się, wił się z bólu, uciekł od niej, by jej więcej nie widzieć.

I wtedy dostał list od matki, w którym poraz pierwszy pisała o nieskończeniu dobrej i słodkiej Maryt.

Maryt! Maryt! To obce imię uderzyło go silnie. To imię zaprzętało go całymi dniami, wgryzło mu się w duszę — było to dla niego muzyką i jakąś tajemnicą, i jakimś dziwnym przeczuciem.

Maryt! Maryt! To imię już ją całkiem wypowiadało. Norweska brzoźka, pękająca na wiosnę, złoto na główce, jakby się na niej to norweskie cudowne, wiosenne słońce stopiło. . .

Nie rozumiał tego. Ale cóż można na tym świecie zrozumieć?

A więc z kilku nieznaczących wrażeń miałyby się urodzić jego miłość do Maryt? To niepodobna! Przyczyna tego musiała tkwić głębiej.

Maryt musiała mieć w sobie coś niewytłumaczonego — coś, co sięgało najtajniejszych głębi jego bytu.

Nagle zrozumiał. Z pewnością tak było: Maryt a ziemia rodzinna to jedno.

A miała coś szerokiego, jakąś cichą, a smutną zadumę na swoim czole. Coś z tych ostrych pojedynczych kształtów tej płaszczyzny, którą tak bardzo ukochał.

Ta śmieszna ojczyzna, którą pierwszy lepszy idjota mógł nakreślić kilkoma kreskami.

Dlaczego właśnie w te pojedyncze, proste formy przelewało się jego najgłębsze uczucie? Dlaczego tak ją kochał i to czoło z temi jasnymi, bogatymi włosami?

Co się z nim działo?

To była rzeczywiście miłość?

Nie, doprawdy nie! On kochał tylko swoją żonę, swoją piękną żonę, co była duszą jego duszy, sercem jego serca. . .

A więc tylko prosta żądza chuci.

Ale to niepojęte. Przecież ta głupia chuć mogłaby sobie wynaleźć tysiąc innych kobiet, by się zaspokoić. . .

Hm. . .

Ale Falk był człowiekiem wielkiej kultury i wielce wyrafinowanym. Nie zadawał się pierwszym lepszym towarem. Chuć jego była wstydliva i przebierna. . .

No i co?

No i co? Otóż to, że pragnę Maryt, chcę ja mieć i będę ją mieć, bo taka jest moja wola.

Falk gorączkował. Uczuł nagle dziką, niespokojną tęsknotę za Maryt.

Teraz leżała w swem łóżku i ręce na kołdrze złożone w krzyż, a może trzyma mosiężny krucyfiks w rękach, który kiedyś u niej widział.

Posiąść świętą. . . Toby była sensacja, pomyślał.

Ale zrobi, co zrobić pragnie, co zrobić musi. . .

I ta straszliwa tęsknota przegryza mu palącą gangreną duszę; niszczy jego spokój, targa jego nerwy i szarpie, że pracować nie może.

Musi to uczynić, ma pełne prawo ku temu.

A więc, proszę szanownych panów, czy nie mam racji? Prawo albo bezprawie—to nie istnieje. To tylko pojęcia, które regulują stosunek Wojtka do Maćka. Ale jeżeli już koniecznie o tem chcemy mówić, czy mam prawo lub nie, a musimy o tem mówić, aby zaspokoić tę głupią atawistyczną pozostałość w kształcie sumienia, więc argumentuję tak:

Jestem w każdym razie człowiek, który życie daleko silniej i wszechstronniej w siebie wchłonać może, niż dziewczę, co później będzie tylko dzieci rodzić i ptactwo domowe hodować.

To mówię, moi panowie, do filozofów.

Jestem człowiek, którego pragnienie i tęsknota za tem dziewczęciem wprost niszczy — to do lekarzy — a więc znajduję się w pewnym rodzaju prawa samoobrony — to do prawników.

A więc jestem jak najzupełniej w swoim prawie.

Potem przyjdzie jakiś pan X. i powie: Pan jest niemoralny człowiek.

— Dlaczego? zapytam się z najśłodsza miną w świecie.

— Boś pan uwiódł niewinne dziewczę.

— Nic więcej? zapytam zdziwiony. Więc słuchaj pan. Ja jej nie uwiódłem, tylko sama mi się oddała. Zna pan to miejsce w kodeksie Napoleona, gdzie jest zakazane dochodzić ojcostwa nieprawych dzieci? Nie zna pan tej wspaniałej anegdoty?

No, to pan zupełnie nieokrzesany człowiek, a Napoleon co najmniej tak potężny jak Mojżesz.

Posłuchaj pan dalej: najświętszym celem natury, to tworzyć życie. A do tego potrzebny płciowy stosunek dwóch osobników różnej płci. Chciałem dokonać tego celu, a więc spełniałem najświętsze obowiązki, jakie natura na mnie nałożyła.

Potem przyjdzie pan Y.

— Idź pan do jasnego pioruna, zakrzyknę. Ja jestem ja i na tem koniec.

Falk coraz więcej się podrażniał. Był wściekły; w mózgu panowało dzikie pomieszanie.

Na dworze świtało. Cały świat sphywał w cudach mrocznego światła, ptaki poczęły świergotać.

Wypił szklanke koniaku, zapalił papierosa. Zwolna się uspokoił.

Maryt, to słodkie, kochane dziecko. O, te oczy, które patrzyły na niego naprzemian z taką niewypowiedzianą miłością, to znowu ze strachem i lękiem!

Czuł jej rękę na swych skroniach, słyszał jej gorący głos, jak szeptała z drżącą namiętnością: Eryk, mój Eryk, tylko mój. . .

Uczuł ją na swych kolanach, ręce jej objęły jego szyję; przytuliła się takim pragnieniem do jego piersi.

Falk pił i stawał się coraz sentymentalniejszy.

Naraz szarpnął się.

— Już ja cię znam, kłamliwa, podstępna chuci; chcesz pokryć twe krwiożercze pragnienia płaszczykiem sentymentu. Nie, nie! sto razy dziękuję za tę śmieszna hipokryzję.

Jeżeli coś robię, to robię z pełną świadomością. Kocham jedynie moją żonę, a jeżeli chcę posiadać Maryt, to całkiem się mej żonie nie sprzeniewierzam; przeciwnie, oddaję się jej więcej niż kiedykolwiek.

Niebo rzucało pożarną łunę światła do pokoju — światło lampy kurczyło się coraz więcej.

Falk spojrział w lustro.

Jego pociągła twarz nabrała w tem półświecie jakiegoś demonicznego wyrazu. Oczy paliły się i skrzyły jak w gorączce.

Siadł na kanapie; był bardzo zmęczony.

Smieszne, jak mu to głupie dziewczę stało się nagle obojętne. To było rzeczywiście dziwne. Nie uczuwał ani odrobiny pragnienia.

Tak, tak: ale jutro znowu powróci, jutro znowu będzie jej pragnął i pożądał.

Ale to szaleństwo żyć dłużej w tej atmosferze, ocierać się ustawicznie o nią!

Nie! Raz musi się to skończyć.

Falk zerwał się.

Jutro, pojutrze wróci do swej żony — do Paryża.

Widział się już w wagonie. Już pędził ekspresem do Paryża.

Kolonja! Chryste Panie, jeszcze dziesięć godzin! Niepokój i niecierpliwość rozpieierały mu piersi. Ta podróż trwa wieczność całą. Najchętniej wyleciałby z pociągu i biegł, biegł, szybciej od wszystkich pociągów na całym świecie. . . Jeszcze trzy godziny do Paryża — dwie godziny. . . trzymał zegarek w ręku i śledził wskazówkę. Jeszcze pół godziny. Oddychał szybko, ćmiło mu się w oczach, serce biło młotem. Teraz pociąg wjeżdżał powoli na dworzec, jego oczy jak niespokojne jaskółki trzepotały między tłumem. Widzi już ją, widzi — tam, w tym żółtym płaszczu. . . poznał ją natychmiast. Szuka go niespokojnie, biegnie wzdłuż wagonów. . . Przypadli do siebie, schwycili się za ręce. . . Wziął ją pod ramię, przycisnął ją silnie do swej piersi.

Ocknął się.

W tej chwili musi jej zatelegrafować, że w tych dniach przyjeżdża.

Naraz zdjął go nerwowy lęk. Zdawało mu się, że nie będzie miał sił do tak dalekiej podróży. Usiadł; ręce mu obwisły.

Paryż wydawał mu się gdzieś na krańcach świata, tysiące tysięcy mil odległy.

Dziwne, że nie mógł sobie przypomnąć twarzy swej żony. Twarz tej pani — Jezus Marja, jakże on znowu ją nazwał. . .

Biegał naokoło, ale nie mógł sobie przypomnieć.

Przecież słyszał już to nazwisko, czytał je w sprawozdaniach parlamentu. . .

No! wreszcie!

Odetchnął głęboko.

Panna Perier. . . Perier. . . Perier. . .

I znowu zaniepokoił się, był bardzo sobą niezadowolony.

Ta głupia idiotyczna komedja! Jeżeli się kłamie, to człowiek nie powinien się pozwolić schwytać na kłamstwie. Teraz zdradził się. Maryt będzie teraz ostrożną.

A może nie? Nie, niemożliwe. Prędejbym dała sobie głowę uciąć, zanimby uwierzyła, że Falk kłamie.

Nie; nigdy w życiu! Naturalnie, wierzy, że był pijany. . .

Już było zupełnie jasno w pokoju.

Teraz trzeba się położyć. Głowa mu się paliła — ręce takie gorące.

Och, coś chłodnego na głowę. Jej ręce. . .

Czyje ręce?

Roześmiał się szyderczo.

Ręce Maryt — no, oczywiście! Maryty ręce. . .

W ogrodzie głośny świergot ptaków. Otworzył okno.

Chłodny strumień świeżego powietrza owiał rzeźwiąco jego skronie.

Strzępy mgieł rozwiały się w powietrzu — odsłoniła się łąka — daleka, zielona łąka.

W ogrodzie, co do łąki przytykał, rozkwitały drzewa — całe morze, kołyszące się, odurzające morze białego kwiecica — a na łące całe oazy żółtego jaskru.

IV

FALK zerwał, się. Usnął nierozebrany na łóżku. Światło dzienne, głuszone przez cienie drzew ogrodu, rozsnuło się centkami na zmęczonej jego twarzy, i nadawało jej wyraz wielkiego, spokojnego smutku.

Matka jego stała przed nim i chciała mu podsunąć poduszkę pod głowę.

— Boże! Jakie straszne sny mnie trapiły!

— Ależ dziecko kochane, całkiem się zniszczysz, jak tak będziesz wysiadywał całymi nocami.

— Przeciwnie, droga mammo, spałem bardzo dobrze. Ja nie potrzebuję dużo snu. Są przecież ludzie, którzy umieją spać, nawet gdy idą. Znałem takiego listonosza, a jednak dociągnął do 90-go roku. A zresztą, droga mammo, wyjeżdżam w tych dniach. Muszę koniecznie wracać do Paryża.

Matka była bardzo zmartwiona.

Więc pocóż przyjeżdżał? Pocóż robił tak daleką podróż, by po paru dniach już uciekać? Przecież jego żona da sobie tam sama radę przez jakich parę tygodni.

— Bóg wie, czy jeszcze cię kiedy w moim życiu zobaczę? — dodała smutnie.

— Chciałbym zostać bardzo chętnie, ale w żaden sposób nie mogę. . .
W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Weszła Maryt bardzo zmieszana.

Pocałowała matkę Falka w ramię. Falk podał jej rękę z bardzo sztywnym ukłonem.

— Pani Falk niech się nie gniewa, że przyszłam tak rano z wizytą, ale tato ma ważne sprawy do załatwienia. . . i. . .

Pani Falk, prosiła, by jej wybaczyć, że jeszcze nie uprzątnięto, ale ten leniuch Eryk dopiero się obudził.

— Pomyśl tylko, moje dziecko — Eryk chce wyjeżdżać. Musisz ty go poprosić, by jeszcze został.

Maryt drgnęła.

— Co? Pan już chce wyjeżdżać?

— Tak, i to koniecznie. Muszę rozpocząć pracować. Tu nic robić nie mogę.

Maryt siedziała jak skamieniała i patrzyła wylękniętymi oczyma na Falka.

— A zresztą, niema najmniejszego sensu, bym tu dłużej siedział. Życie tu tak niezmiernie ciasne, człowiek obraca się jak w zaczarowanym kółku. . . Niech się mama nie gniewa, ale jestem przyzwyczajony do szerokiego, niczem nie krępowanego życia wielkiego miasta. . . Tu czuję się jak spętany. . .

Maryt siedziała zamyślona. . . wstała naraz.

— Muszę już iść. Pan przecież przyjdzie na pożegnanie?

Ale pani Falk nie pozwoliła jej odejść. Nakryła stół i kazała przynieść śniadanie.

Falk siedział naprzeciw Maryt. Patrzył zamyślony na swój talerz i spoglądał uważnie na nią.

— Dziwna rzecz, jak pani podobna do jednej panienki, którą w Norwegji spotkałem, a dziwniejsze jeszcze, że pani ma to samo imię.

Falk mówił oschle, jakby przytaczał najzwyklejszy fakt.

— Była nieskończenie miła, a wokół głowy miała przepyszną koronę złotych włosów. Wyglądała, jakby się na jej głowie stopiło pierwsze słońce wiosenne północy.

Zresztą, wygląda pani źle i coś pani bardzo smutna. Dziwna rzecz, że nie umiecie być weseli, to prawdopodobnie religja wasza wam tego zakazuje. Podobno jest grzechem być wesołym.

Niech tylko mama nie robi tak poważnej miny — wspomiałem o tem tylko tak mimochodem.

Znowu milczenie.

Pani Falk mówiła długo o zmarłym mężu. Łzy stanęły w jej oczach.

Maryt wstała.

— Teraz muszę już pójść. Nie będę czekała już na tatę. . .

Falk też powstał.

— To mogę panią odprowadzić. Ja tak czy tak robię w tym czasie długie przechadzki. . .

— Jeżeli to panu nie sprawi przykrości. . .

Długo szli w milczeniu.

Falk nasunął kapelusz na głowę, włożył niedbale ręce do kieszeni i zdawał się myśleć o czymś bardzo głęboko.

Raz po raz spoglądała na niego Maryt ukradkowo. Ale on udawał, że nic nie widzi.

— Czy to rzeczywiście prawda, że pan chce już odjechać?

Falk spojrzał na nią, jakby nie rozumiał, o co go pyta, zimnym, zmęczonym wzrokiem.

— A! jechać? A tak, z pewnością. Cóż ja mam tu robić? Niech się pani nie zdaje, że to wielka rozkosz męczyć się w pani pobliżu. Tak, pojedę, może jutro już. . . zresztą, to zupełnie obojętne. Zrobię, co mi narazie do głowy strzeli.

Oczy Maryt napęłniły się łzami.

— Pan nie może tego zrobić! Inaczej wszystko nieprawda, co mi pan o swej miłości mówił. Człowiek, który kocha, tego zrobić nie może.

— No, więc powiedz mi pani, czego pani ode mnie pragnie? Chcę panią pocałować, pani wie, jakieby mi tem szczęście dała — pani nie pozwala. . .

Chcę mówić z panią o tem, co mnie najwięcej obchodzi, pani tego słuchać nie chce — więc co? co?

Maryt płakała.

— Przecież pan mówił, że nie wolno pana kochać, że pan nic wzamian dać nie może. . .

— Ależ tłumaczyłem pani, dlaczego to powiedziałem. A chociażby i tak było — czyż pani nie pojmuje ogromnego szczęścia jednej chwili?

Maryt spojrzała na niego zdziwiona.

— Więc cóż mam zrobić dla pana? Czegóż pan ode mnie pragnie?

— Czego ja pragnę? Ja? czego ja pragnę. . . bo ja wiem?

— Zniszczyć, unieszczęśliwić mnie, a potem odjechać. . .

— Zniszczyć, unieszczęśliwić? . . . Hm. . .

Szczęście to kiepski, angielski wynalazek. Ohydne, wstrętne to syte, zadowolone szczęście Wojtka, Kuby, Kaški! Najwyższe, jedyne szczęście

wyczerpuje się w jednej sekundzie. I dla tej sekundy warto choćby całe życie poświęcić. Chce pani całe życie tarzać się w tem błocie mieszczańskiego szczęścia? Czego ja od pani pragnę? Dwie, trzy godziny szczęścia, a potem w świat! Szczęście jest wstydlive. Hańbi się je, i ono staje się nieprzyzwoitem, gdy się go długo zażywa.

— Nie męcz mnie pan. Ja tego znieść nie mogę! Chce pan, bym zmarniała?

— Nie, tego doprawdy nie chcę. Ale nie mówmy o tem. Szaleństwo obracać się ustawicznie naokoło tej jednej myśli! Dostyc tego. Nic już nie powiem. Będę już odtąd bardzo dobry i wesoły, tylko pani nie płacz, nie płacz. . .

Falk uczuł głęboką litość.

— Nie płacz pani — będę dobry i wesoły, tylko pani nie płacz. . .

Szli chwilę w milczeniu.

Weszli w małe zagajenie, tuż nad brzegiem jeziora.

Było hardzo parno, a nad lasem na przeciwnej stronie drgało straszny upałem południowe słońce. Przed nimi jezioro zmęczone i ciche.

Przygniatający spokój stoczył się na daleką równinę.

— Może spoczniemy chwilę? Nie lękaj się pani, nie myślę się pani narzucać, lub być uprzykrzonym i natrętnym — o nie, nie. . . siądę w przyzwoitej odległości.

Położył się na mchu — siadła o trzy kroki dalej na kamieniu i bawiła się bezmyślnie parasolką.

Naraz przysiadł.

— Pocóż pani właściwie chodzi do kościoła? Czyż nie ma pani tyle dumy, by tam nie chodzić, dokąd cały motłoch biegnie, gdzie panuje wszechwładnie straszliwy zapach potu i wstrętnych pokarmów, nie dobrze strawionych? . .

Maryt pomyślała błyskawicznie, jak raz wskutek zepsutego powietrza w kościele omdlała, jak ją wyniesiono do zakrystji, rozpinano jej stanik — tak! to wstrętne!

Ale milczała.

— Nie rozumiesz pani, jak to wartość człowieka obniża, zespala go z tłumem?

— Nie, tego rozumieć nie chcę i nigdy nie zrozumieję. Wiara jest jedyną moją ucieczką.

— Tak? . . . powiedział Falk przeciągle. No, to dobrze, dobrze. . .

Falk zdawał się być bardzo zmęczony. Znowu się wyciągnął na mchach i przymknął oczy.

Po jego twarzy przesuwaly się cienie zarośla — miał wyraz głębokich przeżytych cierpień.

Maryt patrzyła na niego.

To straszny człowiek. . . Nie mogła się pozbyć wizji kościoła, przesiąkniętego potem i wstrętnych wyziewów. . . No, a to mechaniczne, nużące odprawianie różańców, odmawianie nieskończonych litanji i te monotonne, nudne nieszpory. . . Nie śmiała dalej myśleć. . . Boże, Boże, cóż on jeszcze z niej zrobi?

Wyraz cierpienia na twarzy Falka pogłębiał się jeszcze. Był blady, a naokoło ust zarysowały się głębokie zmarszczki.

Teraz chciałaby mu się na piersi rzucić, delikatnym głaskaniem wygładzić te zmarszczki.

Och, jakby chciała go widzieć szczęśliwym! Jak pragnęła dać mu choć trochę szczęścia.

W jej oczach zabłyśły łzy.

— Falk! . . . — Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

Falk zerwał się zdziwiony.

Patrzyła w ziemię zawstydzona — walczyła z płaczem; jedna łza spadała po drugiej.

Falk przysunął się do niej.

Chciała wstać.

— Ależ, na Boga, nie lękaj się pani mnie. Przecież niczego od pani nie żądam. Jeżeli wogóle cośkolwiek żądam, to trzeba mi to dać z dobrej woli i z radością. Nie, nie, nie pomyślałem nawet o tem, by się pani dotknąć. Może pani być zupełnie spokojną.

Patrzył uporczywie na jezioro i na tańczące, drgające żarem słońce południa, co się nad lasem rozpostarło.

Maryt chciała znowu nawiązać rozmowę.

— Dlaczego pan był taki niedobry wczoraj?

— Ja? niedobry?

Falk ziewnął.

— Niedobry? wcale nie — tylko byłem cokolwiek podrażniony.

Kocham panią, chciałbym, by się pani ze mną zżyła, mojami myślami myślała, ale przeciwnie. Pani uwielbia i kocha to wszystko, co uważam za małe i za głupie. Nic z tego, cobym pani tak chętnie powiedział, powiedzieć mi nie wolno. Ja, człowiek wyzwolony, nie mogę spokojnie patrzeć, jak kobieta, którą tak niezmiernie ukochałem, może żyć w tak poniżającym niewolnictwie praw i formuł, stworzonych nato, by stłumić i okiełznać krwiożercze zapędy najniższego motłochu. . .

Tracę panią przez to, mówił rozdrażniony, zaciera się pani w mem sercu i mózgu. Daje pani jałmużnę, to wiem z góry, że pani to robi, bo w waszem przykazaniu kościelnem stoi napisane: bądźcie miłosierni, abyście weszli do Królestwa niebieskiego — idziecie do chorego, to idziecie z tą myślą, że czeka was za to, tylko trochę później, hojna zapłata. Za wszystko musicie mieć wynagrodzenie, a kochany kościół przyrzeka procenta od procentów — jesteście prostymi lichwiarzami. Wstyd, wstyd! Nawet za zmówienie modlitwy musicie mieć tyle i tyle lat odpustu. . . Ha, ha, ha. . .

Falk śmiał się z dziką pogardą.

Maryt zbladła.

— Zrób pani co, nie dlatego, że kościół coś pani przyrzeka, ale że tak serce pani każe. Zrób pani bez zapłaty, bez procentów od procentów. Depcz pani wszystkie przykazania, gardź pani tem wstrętnem kupczeniem cnotami, tą niegodną lichwą. Bądź pani sobą, tylko sobą, piękną, ukochaną Maryt. . . He, he. . . pani mówi, że mnie kocha, a głupia formuła o nieczystych pragnieniach — tak kościół nazwał najgłębsze i najpiękniejsze instynkty — głupia formuła wystarcza, by stłumić w pani najsilniejsze i najszlachetniejsze porywy — zagłuszyć głos serca, zgasić ogień, który panią strawia. A potem odmawia pani jeszcze dziesięć różańców, żeby Panna Marja wyrwała duszę pani ze szpon złego ducha. To ma być miłość? To? to? miłość, którą formuła, przykazania i obawa przed głupiem, śmiesznem piekłem stłumić może? Ha, ha, ha. . .

Falk śmiał się coraz pogardliwiej.

Maryt siedziała, drżąc na całym ciele.

— No, odpowiedz mi pani! To ma być miłość? Powiedz mi pani przynajmniej, co pani miłością nazywa?

Maryt milczała.

— No, odpowiedzże mi przecież. Nie chcę cię męczyć. Kocham cię. Tęsknię za tobą do szaleństwa. Wiem, że mnie kochasz, wiem. . .

Przypadł do niej i objął ją w pół.

— Nie, na Boga nie! Cóż robisz? Eryk! Eryk! Nie męcz mnie pan tak straszliwie. . .

— A — przepraszam! Przepraszam jak najmocniej. . . Cóż u diabła tak się często zapominam! No tak, ale to rzecz całkiem obojętna. To już się nigdy nie powtórzy. . . Pójdziemy? co? Zdaje się, że to już pora obiadowa. .

Falk ziewał umyślnie.

Obok szła Maryt, strasznie zmęczona i szarpana wściekłym bólem.

— No, do widzenia. —Falk podał jej rękę. Doszli do furtki ogrodu.

Maryt drgnęła.

Nie pojedzie, nie pojedzie! krzyczało jej serce. Och! aby tylko nie pojechał.

Schwyciła go gorąco za rękę.

— Pan nie pojedzie! Wszak nie? Rób pan, co pan zechce, tylko nie jedź, nie jedź. . .

Wargi jej drżały gwałtownie. Trzęsła się cała.

— Nie jedź pan, nie jedź pan — ja zginę tutaj. . .

Wybuchła płaczem.

Falk spojrział na nią zimno i twardo.

— Nie wiem tego z pewnością. To zależy od rozmaitych okoliczności. W każdym razie zobaczę jeszcze panią, zanim odjadę.

Pożegnał się oziębło i poszedł.

V

BYŁA noc. W ogrodzie szalała wichura. Od czasu do czasu rzucała strugi deszczu, co na szybach z głośnym jękiem się zlewały.

Maryt siedziała nawpół rozebrana na łóżku, nie miała siły całkiem się rozebrać.

Poco? Wiedziała już to wszystko z tyłu nieprzespanych nocy. Położy się: łóżko pocznie z nią tańczyć — siądzie znowu, poprawi poduszki, oprze się o ścianę i będzie oczy wlepiac w tę przerażającą czerń i głuszę pokoju. I znowu wstanie; będzie chłodzić skronie o szyby — i tak przez całą noc.

— No, wszystko się już skończyło. To wszystko napróżno.

Powtarzała to ustawicznie z coraz to silniejszym bólem.

Przed obrazem cudotwórczej Matki Bożej paliła się czerwona lampka, a gromniczne błyski oświetlały prawie upiornym strachem pół pokoju.

Knot się przewrócił. Olej buchnął płomieniem. Straszliwy zaduch pokoju.

Spocony kościół, wstrętne wyziewy — błyskawicą przeleciały słowa Falka przez jej głowę.

Zgasła płomień. Straszna noc.

Patrzyła bezmyślnie w głuchą próżnię czarnej, burzliwej nocy.

Boże najdroższy, czegoż on żądał od niej, czegoż on chciał?

Strumień gorącej, rozżarzonej krwi oblał jej twarz.

Przeczuwała to wszystko, ale nie rozumiała. I nagle uczuła jego drżące, spragnione usta na swoich. Rozpalony wąż dzikiego pożądania przebiegł jej ciało.

Nic nie myślała, tylko drżała dreszczami żądnego pragnienia. Wtuliła obie ręce między nogi i wkuliła się cała w siebie. Tak siedziała skurczona i wschłuchiwała się płonąca, rozpalona w nieznane, lękiem i rozkoszą wstrząsające dreszcze.

Co to było? To tak często się powtarzało. A tak się tego lękała! Och, z jaką dziką rozkoszą rzuciłaby mu się na szyję, z całą tą namiętnością, która ją trawiła — takby go chciała całować, całować. . . I znowu nawracał rozpalony strumień krwi, dostawała zawrotu głowy; wszystko spływało w szalonym wirze.

To był grzech!

Grzech! Grzech!

Zerwała się, trzęsła się jak w febrze; szukała drżącymi, latającymi rękoma zapalek; nie mogła ich znaleźć i rzuciła się w febrze na kolana.

Chciała się skupić do modlitwy.

Nie mogła.

Przerażona zerwała się znowu.

Słyszała dokładnie szydercze słowa: głupie formułki!

Nie, to coś w niej szydziło: Falk, Falk. . .

— Wszystko pani robi za zapłatę, którą z procentami w niebie wypłacą!

— O Boże! Boże! — załkała.

Nagle wydało jej się, że coś nie pozwalało jej się modlić. Jeszcze żarliwiej padła na kolana, szukała słów: z serca, razem z kawałem krwawiącego serca chciałaby sobie wyrwać słowa modlitwy. . .

Żadnego nie znalazła. Matka Boża opuściła ją.

Grzech! Grzech! huczało, dudniało, szalało burzą w jej skołatanej głowie.

Ża cóż ją Bóg tak karał? Za co? za co?

Wszystko, co jej Falk mówił, odżyło z dziwną jasnością w jej mózgu.

Beznadziejna rozpacz obezwładniała ją.

A on powiedział, że ja go nie kocham! Że przykazania i formułki silniejsze od mej miłości. O nie! nie! stokroć razy nie. Jutro, jutro zobaczy jak go kocham! Sama mu się na szyję rzucę! Chcę go kochać, będę go kochać. Niech mnie Bóg straci do najgłębszego piekła, ale będę go kochać.

Zerwała się i przykucnęła przy oknie.

Próbowała myśleć.

A w ogrodzie szalał wściekły wiatr i łamał gałęzie i korony drzew.

I znowu uczuła swą szyję w oplocie jego ramion — nie broniła się; poddawała się tej nieludzkiej pieszczocie. Ssała trujący jad rozkoszy,

obwisała w jego objęciu. . .

Nie, nie, nie!

Znalazła wreszcie zapałki.

Zapaliła świecę. Dygocące światło padło na twarz brzydkiej byzantyjskiej madonny.

Maryt przelekła się; nie mogła się ruszyć z miejsca.

Patrzyła z coraz większym przerażeniem.

W gorączkującym mózgu dziecka wykrzywiła się twarz łaskawej pani do szyderczego, koszlawego śmiechu, ściągnęła się w skurczu bólu i nagle spoważniała w srogiej, grożącej powadze.

Chciała rzucić się na ziemię, ale nie mogła. Była jak wryta w ziemię. Przeważenie ścisnęło jej serce, że oddychać nie mogła.

Wreszcie zakwitł na ustach Najłaskawszej Pani uśmiech pobłażliwej dobroci.

Pod łóżkiem coś zachrupotało.

Odkoczyła w paroksyzmie strachu. Nie śmiała oddychać.

Nie! to tylko zaszeleściło w tapetach.

Chciała uciekać; cały dom pełen upiorów. Wsłuchiwała się w głuszę natężenia z drżącym strachem.

Cisza.

Jezus, jak to wszystko straszliwe! Uciec, och, uciec — do niego, do niego. . .

Nie! Nie!

Módl się! módl! krzyczało coś w niej.

Nie! nie umiała się już modlić. Coś rozprzęgało jej ręce, gdy je do modlitwy złożyła, a zaduch potem i wstrętnym wyziewem przesyconego kościoła zrywał ją z kolan.

Och, jak strasznie była nieszczęśliwa. On — ją do tego doprowadził — och, nie! nie! nie on! On taki sam nieszczęśliwy i stargany.

Cóż począć, cóż począć? Wszyscy ją opuścili.

Rzuciła się na łóżko, ukryła swą twarz w poduszkach. Głośne łkania dławily ją.

I znowu się uspokoiła.

On był taki dobry. Będzie go tak gorąco, tak serdecznie prosiła, aby od niej nic nie żądał. Aby tylko przy niej pozostał i mówił do niej tak, jak on tylko sam mówić umie.

— Ale on odjedzie — jutro już pojedzie!

Biegała tam i z powrotem po pokoju.

A może już odjechał?!

Przypadła do ziemi i odnowa zerwała się z jej serca burza łkania i płaczu.

Nie, nie, to nie możliwe — on taki dobry; on odemnie nie odjedzie.

Eryk, Eryk! łkała. Jestem przy Tobie — wszystko zrobię, tylko zostań przy mnie.

Wysłuchiwała się w swe własne łkanie.

Ale niepokój jej wzrastał, pienił się i wrzał; nie była zdolna przenieść tej męki. . . Boże! te ohydne, potworne cienie — te szatańskie poczwary na ścianie, a ta sroga nieubłagana twarz Matki Bożej!!

Uciekać! uciekać!

Z gorączkowym pośpiechem ubrała się i zbiegła do parku.

Zimny wiatr otrzeźwił ją. I naraz wstąpiła cisza i spokój do jej serca. O niczem już nie myślała.

Chodziła po długiej, topolowej alei. Coraz zimniej. Deszcz zmoczył ją do ostatniej nitki.

Przyszła do pokoju, rozebrała się i położyła do łóżka.

Wywracała się ze zmęczenia.

Zasypiała już; nagle ujrzała twarz Falka.

Patrzył na nią, śmiał się drwiącym szatańskim grymasem; wgryzł swe oczy wampira aż do dna jej duszy.

Patrzyła przerażona. Chciałaby się w ziemię zapaść. Jakby ciężar jakiegoś globu słonecznego zwałił się na jej serce. . .

I resztką sił zerwała się; twarz znikła, tylko jakiś piekielny chichot rozległ się w powietrzu.

Oddychała szybko i siadła w łóżku.

Wysłuchiwała się w siebie. Było coś w niej, co mówić, co ostrzegać chciało,

Rwało się coraz wyżej; teraz, teraz dowie się strasznej tajemnicy.
Spójrzy w najtajniejszą głąb duszy Falka.

Tak go jeszcze nigdy nie widziała. W mózgu jej jaśnieć poczęło. Z straszną trwogą wschłuchiwała się w swoje wątpienia. A może, może on kłamie?

On? nie, nie! On nie kłamie! Ale co, co, co to jest? . . .

Opadła z sil. Była tak śmiertelnie zmęczona! Leżała i patrzyła w ciemną, głuchą pustkę.

Ucichło w ogrodzie. Wiatr przestał wyc i skowyczeć. A na łaskawem obliczu Przenajświętszej Panny zaległ cichy, słodki uśmiech.

Teraz mroczniało w jej mózgu. . . Przed jej oczyma rozesała się szeroka, widna łąka— a zdała nadchodził Falk — biegła ku niemu co tchu. .
. Taki był dziś nieskończenie dobry, taki dobry.

VI

BYł cudowny poranek. Nad łąkami i polami zaległ rosą przesycony, diamentowy blask wschodzącego słońca, a ponad wszystkim unosiły się podarte szmaty lekkich obłoków mgły.

Maryt szła na ranne nabożeństwo. Była bardzo blada. Ale na jej zmęczonej, posmutniałej twarzyczce dziecka zaległ cichy, święty spokój.

Szła, przesuwała po cichu paciorki różańca i modliła się do Świętego Ducha.

Gdy przyszła do klasztoru, zadzwonił właśnie ministrant na Introibo. Ksiądz celebrował mszę w przybocznej kaplicy. Maryt klękała przed głównym ołtarzem i modliła się żarliwie. Obok siedział młody ksiądz w konfesjonale i patrzył na nią ciekawie. Miał też różaniec w ręku, a palce jego suwały się mechanicznie po paciorkach.

Maryt wstała wreszcie i przystąpiła do kratki konfesjonału.

Spowiedź trwała długo.

Naraz Maryt powstała, szła szybkim, nerwowym krokiem poprzez cały kościół i siadła pod chórem. Usiadła, ukryła twarz w dłoniach i poczęła płakać.

Bezwstydnny człowiek! Ją pytać o takie rzeczy! Nie mogła nawet o tem myśleć. Mieszało się jej w głowie. To przecież niemożliwe. Sługa Boży, który może stawiać takie pytanie!

Ciemny rumieniec oblał jej twarz.

Brutalny syn chłopca! Tak, to pewno chłop! Eryk mówił jej przecież, że oni wszyscy synowie chłopów. . .

Ale wszyscy ludzie grzeszą. Ksiądz też może się pomylić. Pewno nie miał zbyt inteligencji. . .

Ale w głębi krwawiła się dusza Maryty z wstydu i upokorzenia. Płakała. Czowała się zdeptana, upokorzona. Ani Bóg, ani Panna Marja, ani kapłan —

nikt, nikt nie chciał jej dopomódz. Wszyscy ją opuścili! O Boże!
wszechmocny, wszechpotężny Boże! Co za nieszczęście!

Ministrant zadzwonił trzy razy.

Nie, dziś nie przystąpi do stołu pańskiego — nie chciała — nie mogła. . .

Obejrzała się pomieszana.

To kościół. O, ten kościół z tym zapachem potu i kiepskich potraw! Falk miał słuszość: żaden człowiek nie był w stanie znieść tego powietrza. . .

Maryt wyszła z kościoła.

Możeby mogła teraz pójść do pani Falk? Nie — niemożliwe. Och, jak dokładnie widziała bystre jej oczy — jak się zwracały na Falka, to na nią.

A Eryk przyjdzie dziś z pewnością. Terazby go już z przyjemnością słuchała. Nie przesadzał. Księża to synowie parobków i chłopów. Idą do seminarjum, bo to jakoś lepszy chleb. . . Ha, ha, ha — śmiała się złośliwym śmiechem Falka.

Poza klasztorem płynęła struga wody, a poprzez nią prowadził zmurszały mostek.

Maryt stanęła na mostku i patrzyła w leniwie płynącą wodę.

Wstrząsnął nią dreszcz wstrętu.

Maryt myślała ustawicznie o konfesjonale.

Szła bezmyślnie dalej.

Och, gdyby teraz zaszedł jej drogę! Przecież zwykle robi dalekie przechadzki. Gdyby go teraz spotkać mogła!

Serce jej biło szybko, jakby z piersi wyskoczyć chciało.

Teraz, terazby jej wszystko mógł powiedzieć, a słuchałaby i potakiwała mu. . .

Czekała, ale czekała na próżno. Czekala cały dzień. Falk nie przyszedł.

Sto razy obchodziła cały ogród. Patrzyła na drogę, prowadzącą do miasta, oczy mogłaby sobie wypatrzyć, ale jego nie było. Raz po raz wzniosł się tuman kurzu — zbliżał się — i nagle rozpoznała bryczkę jakiegoś gospodarza z pobliskiej wsi.

Jutro przyjdzie, pomyślała, i rozbierała się powoli. Nie zapaliła światła, bo się lękała obrazu przenajczystszej Matki Bożej; nie chciała, nie mogła na niego patrzeć. . .

Stanęła niespokojna przed łóżkiem. . .

Modlić się?

Spytała się raz jeszcze: modlić się?

Głupie pragnienie jakiegoś dzieciennego, pozagrobowego szczęścia — sztychł jakiś głos w jej duszy.

A może wszechmocny i wszechwidzący Bóg zabije ją na miejscu?

Czekała w natężonym strachu.

Nie! nic. . .

Zegar wybijał kwadranse i godziny i przerywał głęboką ciszę.

Była bardzo zmęczona i bardzo senna. Mózg jej był obezwładniony. Raz tylko zadudniało w jej głowie straszne pytanie: przyjdzie jutro, czy nie?

A jeżeli już wyjechał? Nie! nie! Była pewną, wiedziała z pewnością że nie wyjechał. Teraz, kiedy jest jego, tylko, całkiem jego, teraz przecież nie mógł odjechać.

Dziwne, że wiedziała to z taką pewnością. . .

Ale i na drugi dzień oczekiwała Falka napróżno. Oczekiwała go przez cały nieskończenie długi, nieskończenie straszliwy dzień. . .

Czyż jeszcze długo zdoła znieść tę okropną tęsknotę, która już jej siły przechodzi?!
Spojrzała mimowoli w lustro.

Twarz jej była zupełnie zniszczona. Oczy żarzyły się od długich, bezsennych nocy i były okrażone niebieskimi paskami. A na policzkach czerwone, hektyczne wypieki.

Zdjęła ją litość nad sobą samą.

Jak mógł ją tak straszliwie męczyć? Dla czegoż mścił się na niej tak bardzo? Za cóż? za cóż?

Zdawało się jej, że jest dzieckiem, które niesprawiedliwie ukarano.

Próbowała myśleć, ale nie zdołała skupić myśli — dziwnie jej się w głowie zawracało.

Co się z nią stało? Dokładnie słyszała słowa i oderwane zdania Falka — dostała się w jakąś straszną sieć z silnymi prętami — nie, to była poprostu żelazna, oprętowana klatka, z której wydostać się nie mogła.

Boże, Boże — co się z nią działo?

Broniła się ze wszystkich sił, opierała się, ale wciąż opadały ją wściekłe, szydercze, myśli Falka.

Zdawało jej się, że wszelka świętość została do naga rozebrana, hu, hu, ta wstrętna, brzydka nagość. . .

A wczoraj w kościele — nagle poza maską sługi bożego ta brutalna ciekawość parobka . . .

A teraz — cóż się z nią działo — o, moce niebieskie!

Nie chciała patrzeć na to, nie chciała widzieć tego, ale ustawicznie musiała w tę stronę spoglądać. . .

I cóż się stało? Wyraz świętości, nadludzkiej błogości znikł zupełnie z twarzy byzantyjskiej madonny, i Maryt wlepiła swe oczy w zadziwiająco śmieszny grymas pupki, jaskrawo pomalowanej.

Jaki ten obraz śmieszny i głupi!

Siedziała długo przykucnięta do ziemi. . . Tak, tak — cały świat ją opuścił — on także!

Kiedy zeszła do jadalni, był już wieczór.

— Słuchaj Maryt, mówił stary pan Kauer; muszę jechać do mamy. Stan jej znacznie się pogorszył. No — nic niebezpiecznego, ale jestem bardzo niespokojny. Jutro w nocy wyjeżdżam.

Pan Kauer smarował sobie chleb masłem z wielkim nabożeństwem.

Mama! Mama! Maryt już o wszystkim zapomniała. Wszystko było jej obojętne. Ponad sobą czuła jakieś straszne, głuche i bolesne przeznaczenie, obłok, co straszliwą ulewą gradu miał na nią spaść. . .

— Landrat zaprosił nas na jutro, przemówił pan Kauer po chwili.

Maryt drgnęła radośnie. Z pewnością będzie tam Falk. Wreszcie, wreszcie go zobaczy. Przecież był przyjacielem landrata.

— Drogi, drogi tato — pojedziemy jutro z pewnością. . .

Ale pan Kauer musiał nagle już jutro rano wyjeżdżać.

Ale Maryt tak bardzo go prosiła.

Kauer kochał swoją córkę nadewszystko i nie mógł jej nic odmówić.

— No to pojedę nocnym pociągiem. Ale będziesz musiała sama powrócić do domu.

— Czyż to pierwszy raz? Przecież już jestem dorosłą panną.

Kauer jadł i głęboko myślał.

— Dziwna rzecz, że Falk nie przychodzi już więcej. A ja mam wielką słabość do niego. To dziwny człowiek. Całe miasto jest na niego oburzone,

a równocześnie nim zachwycone. Ale robi dzikie rzeczy. Wczoraj spotkał matkę, jak gnała świnie, którą na targu utargowała, do domu. Nie miała nikogo pod ręką, komu by świnie powierzyć mogła. Co robi mój Falk! Bierze świnie za postronek, wsadził sobie monokl w oko, pędzi świnie z niesłychaną powagą przez całe miasto; wszyscy ludzie wylegają, by widzieć ten zadziwiający spektakl, ale on niewzruszony, z monoklem w oku, z niezmierną powagą popędzał świnie. . .

Maryt śmiała się.

— Ha, ha, ha. . . — huczał pan Kauer — świniarek z monoklem w oku. . . Ale upija się. . . Spytał się wczoraj dyrektora gimnazjum, czy pozwoli się wypoliczkować. Dyrektor zgłupiał. Falk się nagle zamyślił.

— Chciałbym pana uderzyć w twarz, alem za leniwy. . .

— Czemu to chciał zrobić?

— Nie wiem! Ale pomyśl tylko, Maryt — to przecież dyrektor gimnazjum. Ten Falk to wielki dziwak. I to mnie zadziwia, że tego człowieka trzeba lubić, czy się chce, czy nie chce. . . a szkoda, bo bardzo pije. . .

— Rzeczywiście tak dużo pije?—pytała Maryt.

— Tak przynajmniej opowiadają.

Maryt myślała o tem, co jej Falk mówił, że pije tylko wtedy, gdy się czuje bardzo nieszczęśliwy. . .

Była wzruszona i uradowana.

A jutro — jutro go wreszcie zobaczy — i wszystko, wszystko mu powie.

VII

CAŁA twarz Maryty zapromieniała szczęściem, kiedy wśród gości pana landrata ujrzała Falka.

Ale Falk jakoś się nie spieszył, by ją powitać. Stał na uboczu z młodym lekarzem miasteczka, głęboko zajęty rozmową.

A przecież ją widział. Pochwyciła jego badawczy wzrok.

Dopiero później podszedł ku niej i powitał ją zimnym, sztywnym ukłonem.

— No, gdzieżeś się pan tak długo chował? Pan Kauer ścisnął serdecznie rękę Falka. Tak bardzo pragnąłem z panem pomówić przed moim odjazdem.

— Odjazdem?

— A tak. Dziś w nocy jadę do mej żony. Znacznie się jej pogorszyło. Poruczam Maryt pańskiej opiece.

Młody doktor wmieszał się w rozmowę. Chciał koniecznie wiedzieć, jak obecnie stoi sprawa z neurologją. Słyszał przecież, że Falk długo i usilnie się tem zajmował.

— Dawno, dawno już o tem zapomniałem. . . teraz jestem literatem, piszę książki — ale niektóre wyjaśnienia mogę panu dać.

— A więc nie ma bezpośredniego kontaktu? W jaki sposób przedostaje się więc prąd nerwowy z jednego neuronu na drugi Ależ to przecież rewolucja. . .

Maryt siedziała w pobliżu — słuchała natężenie, a równocześnie odpowiadała na pytania pani prokuratorowej z wielkim roztargnieniem.

Słowa, obce słowa, takie strasznie mądre słowa odbijały się o jej uszy — Golgi, Ramón y Cajal. . .

Słowa nie rozumiała. Falk wiedział wszystko.

Jaki biedny, jaki mały wydawał się jej ten mały lekarz, który też wszystko chciał wiedzieć, a nic nie wiedział, Słuchał uważnie jak żak.

I jakaś radosna duma przepełniła jej serce.

I on, on — Falk kochał ją! Jaki on piękny i dumny! Drgnęła.

Zaproszono do kolacji.

Rozmowa, z początku urywana, stała się ogólną — poczęto mówić o rzeczach, które były właśnie na porządku dnia.

Maryt siedziała naprzeciw Falka, chciała pochwycić jego wzrok, ale on zdawał się nic nie widzieć.

Czemu nie chciał na nią spojrzeć? Przecież tak strasznie tęskniła za nim. Nigdy tak jeszcze jak teraz.

Mówiono o pracy hakatystów w Poznańskiemu

— Tego już całkiem nie rozumiem. Falk mówił szybko i przekonywująco. Mnie o sympatje lub o antypatje posądzać nie potrzeba, ale tego już wprost nie rozumiem.

Bo proszę pomyśleć: ta głupia sprzeczność! Prusacy więc czują się jako jeden z najsilniejszych narodów w Europie. Ha, ha, — udało się Bismarkowi: Wir Preussen fürchten nur Gott, sonst Niemand! A ten sam wielki, potężny Bismark, który się tylko Boga boi, drży ze strachu przed tą garstką Polaków. Bo cóż znaczą te parę milionów Polaków wobec 50 milionów Niemców!? I ci silni, potężni Prusacy rzeczywiście drżą ze strachu przed tą garstką zubożałego narodu. Bronią zagrożonej niemczyzny! Ha, ha. . . Poczynam mieć respekt i głęboki szacunek dla tej garstki, która olbrzymim, dumnym i potężnym Niemcom zagraża. O, moi panowie, to nie żart! Jeżeli 2 lub 3 miliony są w stanie wynarodowić 50 milionów Niemców — à la bonne heure — czołem!

Ale państwo pruskie, mimo swej buty i potęgi, postępuje sobie zupełnie idjotycznie. Panowie wiecie z fizjologii, że olbrzymi są zawsze idjotami. Otóż to olbrzymie państwo nie pozwala na naukę języka polskiego, gwałci i niszczy Polaków, gdzie może. Zadziwiający przykład w historii, że państwo stara się o to, aby część poddanych zidjociała — wiem z własnego doświadczenia, że dzieci polskie po polsku zapominają i mówią ohydny dialektem, który nie jest mową ludzką.

Ale pomijam tę głupotę. Państwo pruskie robi jeszcze większą — bo cóż może być zgubniejszego dla społeczeństwa — jak głupota ekonomiczna?

Więc komisja kolonizacyjna zakupuje grunta i dobra polskie, kraje je na parcele, rozczłonkowuje je i osiedla biednych niemieckich fajczarzy. I cóż taki biedny kolonista zrobi? Przysłowiowej siły roboczej chłopca polskiego nie zastąpi swą tępą flegmą, więc albo spolszczeje, jak się to stało z kolonistami, których Fryderyk Wielki nad Notecią osiedlił, albo zmarnieje, jak większa część kolonistów obecnych w Poznańskim.

Podoba mi się ta hardość, ta nienawiść chłopca polskiego do niemieckiego przybysza. Funta masła mu nie sprzeda, choćby krociami mu zań płacono.

— Mój panie, przerwał landrat Falkowi, to ani lęk, ani głupota, to prosta ostrożność. Polacy, to rozsądnicy państwa, a takich rozsądników dużo w Prusach: Welfy, Bawarczycy, socjaliści, Duńczycy. . .

— Dobrze, pięknie! ale dajcie wtedy spokój głupim frazesom, wstyďte się tego non plus ultra śmiesznego frazesu Bismarka. Pocóż to głupie kłamstwo? Powiedźcie wprost: Prusy są słabym państwem, właściwie żadnym państwem. Prusy biedne i marne, bo garstka Polaków wystarcza, by tę biedną „grosse Nation“ wysadzić z siodła, połączyć się z Wendami z nad Sprewy, z Łuzatykami w Szląsku, opanować Berlin, zdusić tę biedną nację bastardów, zesztukowaną z żydów, resztek słowian i krzyżaków — a więc trzeba zniszczyć Polaków. . . Ale wasz Hurapatrijotyzm wygląda wobec tego lęku przed Słowianinem na śmieszne przeskakowanie kiepskiego kłowna przez papierowe koło.

Falk był bardzo podniecony.

— Dobrze! bardzo pięknie! Nie jesteśmy żadną narodowością, nie chcemy nią być: nam chodzi o to, byśmy się stali ekonomiczną potęgą, Otóż! wtedy można sobie powiedzieć, czy tę potęgę osiągnę takimi lub owymi środkami, to wszystko jedno, bo nie chodzi nam o Germanję, ale o grosz. A równocześnie trzeba powiedzieć z całym spokojem i z całą bezczelnością: jesteśmy narodem bastardów. Trzy wojny nas zlepiły bez sensu i bez rozumu; nie jesteśmy narodem, jesteśmy handlarzami, kupcami, agrarjuszami. Co nam w drodze ekonomicznego rozwoju stoi, depczemy i tratujemy. . . ale, moi panowie, mówić o zagrożonej ojczyźnie, to wstyd i hańba — mówić o konieczności wytopienia Polaków ze względów

patryotycznych, wstrętne tchórzostwo — mówić: wir fürchten nur Gott! to śmieszny, gruby lep, na który tylko opasłego szynkarza się weźmie.

Jednym słowem: albo błaga w ką i powiedziec sobie, jesteŝmy łajdakami, gwałcimy prawo narodów, ale jesteŝmy narodem kramarzy, lichwiarzy zachłannych wyzyskiwaczy: all right!

Albo: jesteŝmy tak słabym narodem, że garstka obcej narodowości jest nas w stanie wynarodowić — więc w kaŝdym razie trzeba odrzucić do rupieci „die grosse Nation“ i to „vom Fels zum Meer“ i to „wir fürchten nur Gott“ i tym podobne dzwonki błazeńskie.

I dajmy sobie wreszcie spokój „mit Schiller und Göthe“ — ha, ha, ha — naród ideologów, naród myślicieli, którzy się ze swoją olbrzymią potęgą rzuca na garstkę Polaków, lojalnych Polaków, „pruskich poddanych polskiej narodowości“.

Falk zaśmiał się cichym, szyderskim śmiechem.

— Wnioski, które pan wyciąga, są zupełnie fałszywe, przerwał lekarz obwodowy zupełnie fałszywe. Prusacy wcale się Polaków nie lękają, ale tu ma się do czynienia z bardzo ruchliwym a niespokojnym czynnikiem. Lada chwilę może przyjść do nowych rozruchów: socjaliści czyhają tylko na to— a wtedy bezpieczeństwo państwa zagrożone.

— Ale, panie, co pan też wygaduje? Może pan urządzi dla Polaków jakiś skład broni — ha, ha; może w Anglii? A może pan sądzi, że Krupp na zamówienie polaków wyśle do Poznańskiego paręset armat? Możeby wysłał, ale polacy nie mają kredytu państwowego ha, ha. . . A jak teraz rzeczy stoją, to pięć pruskich armat wystarczy, by rozproszyć armję polską, która tylko w widły, kosy i lefoszówki zaopatryć się może.

Ta cała polityka, małostkowa, hypokrytyczna polityka lęku i kramarskiej trwogi, że ktoś inny mógłby odskubać szczyptę od tłustego pruskiego chleba — cała ta polityka jest wprost potworna. Patrz pan na Galicję! Tam mają Polacy we wszystkich szkołach wykładowy język polski, mają dwa uniwersytety, kierowane przez panów, miłych Bogu i papieżowi, podług reguły, że nauka jest najwięcej oddaną służebnicą kościoła. I to piękny, bardzo piękny widok, kiedy profesorowie maszerują w nadzwyczaj malowniczych kostjumach do kościoła. Wolno polakom chodzić w

kontuszach, i nigdzie nie widziałem tak strojnych ubiorów i tak pięknych postaci jak w sejmie lwowskim.

Ale też zato są Polacy najwierniejszym, najwięcej poddanym ludem w Austrii, są ubodzy w duchu, cierpliwi, słodcy jak baranki. Czyś pan słyszał, żeby Polacy zakłócali spokój państwa apostolskiego? Przeciwnie! Jeżeli o to chodzi, by urwać jakiejś hydrze państwowej łeb — to najpierwsi Polacy są pod ręką. Są oni, jak wasz Schiller mówi „frisch und munter zu Hand“.

— Cóż to? pan i Schillera nie uznaje? — zapytał redaktor lokalnego pisma.

— Owszem, owszem, od niego przecież nauczył się Bismark tych głupich, tłustych frazesów. . .

Landrat był ponuro zamyślony.

— I nigdyś pan nie pomyślał nad polityką czeską? Ten sam stosunek, co w Austrii między Czechami a Niemcami, panuje i u nas.

— O nie! panie landracie. Czeska polityka jest przeważnie — w pierwszym rzędzie polityką ekonomicznych stosunków. Tak mi się przynajmniej zdaje. Czechy to najbogatszy kraj w Austrii. Czeska industrija w zadziwiającym rozkwicie. I ta industrija szuka, naturalnie, jaknajszerszego zbytu, stara się wypchnąć Niemców w rynku światowego. .

Kauer, który był podchmielony, zaśmiał się na głos.

— A więc Prusacy uprawiają czeską politykę?

— O nie! Bo pruska polityka ekonomicznych stosunków jeszcze głupsza od ich polityki lęku i trwogi. . . Bo, proszę pana, niemiecki przemysł chce sobie zdobyć Poznańskie. A nagle przychodzi komisja kolonizacyjna i skupuje wszystkie dobra. Szlachta się rozprasza na wszystkie cztery strony świata, i właściwy konsument przestaje istnieć. Dobra rozkawałkowane, obsadzone biednymi kolonistami — chłop polski nic nie konsumuje, bo jest swym własnym producentem. Więc coż?

Polski przemysł — no, nie warto o nim gadać — ale ten, który jest, niszczeje, bo Niemcy taniej sprzedają — więc przemysł ten już nie ma konsumentów. A niemiecki przemysł niema najmniejszej z tego korzyści. I cóż? Warjactwo, błazeństwo — głupie zaślepienie — przerażające

zaślepienie. Nie oburzajcie się, drodzy państwo, ale czy to nie rzeczywiście błazeńskie zaślepienie niszczyć duży kawał swego własnego kraju?

Falk podniecał się coraz więcej. Oczy jego na chwilę spoczęły na rozżarzonej, prawie gorączkującej twarzy Maryty. Zdawała się połykać każde jego słowo.

— Tak! ta cała polityka pruska — Falk łamał chleb w małe kawałki, robił z kawałeczków kulki, i ustawiał je mechanicznie w małe kółka — ta cała pruska, śmieszna polityka względem Polaków jest dla mnie niezrozumiałą i z politycznych, i z ekonomicznych względów. Ale wreszcie — wreszcie mógłbym ją pojąć ze stanowiska fałszywej, całkiem fałszywej operacji giełdowej. Ale jest jedna polityka wobec Polaków, której już całkiem nie rozumiem — to polityka papieża. . .

I znowu utkwił swój wzrok przeciągle w oczach Maryty.

— Tylko niech się pan, księżę proboszczu, nie irytuje! Zdaje się, że się całkiem w tem zgodzimy. Ani mi przez głowę nie przeszło wdawać się w jakąś religijną dysputę. Nie chcę poruszać ani jednej kwestji, w której papież jest nieomylny. Mówię tylko o jego polityce, a przecież w żadnym koncylium nie była jeszcze ogłoszona nieomylność papieża w rzeczach polityki, wszak nie? A więc nie!

Widziałem raz papieża Leona, Leona trzynastego w Rzymie. Najpiękniejszy starzec, jakiego widziałem. Tak szlachetnej mądrej twarzy nikt niema. A jego białe, długie, arystokratyczne ręce! Podobno wiersze jego są dobre i napisane świetną klasyczną łaciną.

I — i podobno jest papież Leon naturalnym sprzymierzeńcą wszystkich uciśnionych. Polacy więc powinni być najbliżsi jego sercu, bo w całej Europie oni najwięcej uciskani.

Ale cóż się dzieje? Mogę sobie wystawić zdumienie Polaków: kiedy Bismark wygnał z Prus około dwadzieścia tysięcy Polaków, dostał order Pana Jezusa — najwyższy order papieski — order ten bardzo piękny i bardzo kosztowny. . .

Och panie, księżę proboszczu, nie bierz mi pan za złe to wszystko, co mówię, ale ja stoję teraz zupełnie na politycznym gruncie. . .

Ksiądz był bardzo wzburzony.

Wszyscy spoglądali niespokojnie na siebie. To było zbyt śmiało wobec starego proboszcza. . . Wszystkich oczy zwracały się to na księdza, to na Falka.

Maryt z bijącym sercem przysłuchiwała się rozmowie. Usta w pół odchylone, oddech zaparty: czekała tylko na gwałtowny wybuch.

Ksiądz pobladł.

— Mój młody panie — pan rzeczywiście za młody, by móżdżek rozwiązywać najważniejsze kościelno-polityczne kwestje rozumem, zarażonym herezją obczyzny.

Falk ani na chwilę nie stracił swego spokoju.

— Wszystko, co ksiądz proboszcz powiedział, to bardzo piękne. Mnie to przecież nic nie obchodzi, co papież robi, albo też regencja pruska — to jedno konstatuje, że tak państwo papieskie jako i pruskie postąpiło sobie wobec Polaków conajmniej. . .

Urwał.

— He, he. . . rzeczy niewypowiedziane są najwięcej dosadne.

A zresztą dajmy spokój tym dyskusjom — widzę, że panowie nie mogą spokojnie słuchać moich wywodów — a od kłótni odzwyczaiłem się za granicą. Zresztą, albo się ludzie rozumieją, albo nie. A ja rzeczywiście nie chcę narzucać towarzystwu jakichkolwiek sugestji.

Wszyscy zamilkli, tylko redaktor lokalnego pisemka chciał się od Falka dowiedzieć, co sądzi o socjalistach. Podejrzewano go o socjalistyczne przekonania, sam nie śmiał ich wyznawać, ale Falk wszystko wypowie. . .

— Tak, to wszystko dobrze, panie Falk, pan jest rewolucjonistą. Pięknie! Ale pan przecież żyje w monarchicznym państwie. No i oczywiście nie jest pan zadowolony z takiego stanu rzeczy. Ale cóż pan sądzi o monarchicznym ustroju państwa?

Redaktor cieszył się, że taka powaga jak Falk uzasadni i usprawiedliwi ideje, o jakie go, biednego lokalnego redaktora, posądzano.

— Co ja sądzę — hm — panie redaktorze to trochę wygląda na pułapkę. Ale słuchaj pan. Byłem raz w Halsingborgu, a jechałem razem z przyjacielem, który był zdecydowanym anarchistą. Staliśmy na promie i patrzyliśmy na niezmiernie piękny, o! przedziwny zamek, o którym już Shakespeare w swoim Hamlecie wspomina.

I wie pan, co mój przyjaciel, ten zaciekły anarchista powiedział? Wie pan? Ot, mówił, że mnie to zapewne zdziwi, co mi teraz powie, ale musi przyznać, że takie cuda architektury i sztuki są tylko możliwe w monarchicznym ustroju państwowym. Pan zdziwiony? Ale spojrzycie pan na całą sztukę renesansu! Poszukaj pan dziś mecenasów dla Titjana, Michel-Angelo, Tintoretta Giorgione. . . Spojrzycie pan na epokę Burbonów, na czas, w którym budowano katedry w Paryżu, Burgos, Toledo — i porównaj pan z tem ohydne, barbarzyńskie panowanie kominardów, którzy o mało co nie zburzyli Notre-Dame i Louvre!

Czyż jeszcze trzeba jakichś dowodów? Co? Czyż już nie dosyć!?

Ach nie, nie! Wstrętna mi jest cała demokracja. Pospolituje, niweluje, spłaszczają ludzi, robi ich ohydny masą, co zna tylko pieniądź i marny teatr moralizujący — nie, nie chcę demokracji — bo wtedy zapanuje i Kleon, i wszyscy garbiarze i Savanarola, który kazał palić najkosztowniejsze rzeczy sztuki — zapanują chłopcy handlarze, co nienawidzą wszystkiego, co wielkie i piękne. Och! nie, nie! rozpętać żywioły plebejuszowskie przeciwko temu, co wyżej stoi, co wyszlachetnione i wydelikaczone!

Falk wstrząsł się.

I nagle poczęło całe towarzystwo sympatyzować z Falkiem. Ale naraz: Falk odkrząknął:

— A jednakowoż mam pewną sympatię z ideą rewolucjonistyczną. Sam nie jestem czynny. Mnie życie dużo za mało interesuje. Patrzę na ewolucję tak jak astronom patrzy przez teleskop na bieg gwiazd.

A jeżeli mam pewną sympatię dla tych wszystkich odłamów demokracji, to jedynie z tego powodu: ekonomiczna równość, której żądają, to zupełnie inna jak równość inteligencji. A jestem pewny, że w przyszłym państwie wytworzy się oligarchia inteligencji, co z wolna obejmie ster panowania. No wtedy rozpocznie się od początku cały ekonomiczny rozwój, ale milion razy lepszy taki początek, jak ten, który zainaugurowało barbarzyństwo.

Teraz schudła i zubożała klasa panująca, a więc arystokraci. Nadchodzi straszne i wstrętne niebezpieczeństwo panowania nieczystych rąk, brudnych parwenjuszów i żoberów giełdziarskich. Nie tegobym nie chciał dożyć.

Redaktor miał minę skąpanego pudła.

— Ale jeszcze jedno pytanie. . . Cóż pan sądzi o teraźniejszym państwie?

— Hm, teraźniejsze — to cesarz Wilhelm, a dla cesarza mam dużo sympatji. Podoba mi się nadzwyczajnie. Niedawno zamianował oficera straży ogniowej na pułkownika. Dlaczego? Bo tak znakomicie odciął podczas jakiejś parady motłoch berliński od zamku. . . Zamianowanie to nie nastąpiło na podstawie pruskich, biurokratycznych przepisów — tem lepiej! Ale właśnie w tem zamianowaniu tkwi to piękno, ta samodzielność — wielka dusza! Hm, hm. . . Niech żyje cesarz niemiecki, Wilhelm II.

Wszyscy spojrzeli na siebie zakłopotani. Ale wreszcie powstali i tręcili kieliszkami.

Redaktor, który miał taką podziemną opinię socjalnego demokrata, zgłupiał, ale też powstał, bo spoczęły na nim oczy landrata.

Powstano od stołu.

Falk czuł, jak się w niego wpały żarzące, stęsknione oczy. Spojrzał i ujrzał Marytę. rozpromienioną, szczęśliwą. . .

Nagle opuściła oczy ku ziemi.

Falk podszedł ku niej. Byli sobie bardzo blisko. Ludzie, którzy się cisnęli z jadalni, zbliżali ich coraz więcej ku sobie.

Gdyby ciepły strumień sperliło się jej dotknięcie po Falka piersiach.

— Eryk, pan jest wielkim człowiekiem. . . Twarz Maryty spurpurowiała.

Falk oblał ją gorącym wzrokiem. Cóż się z Maryt stało?

W tej chwili nadszedł pan Kauer.

— Pan piekielny chłop! Mówił pan po mężku. Tegoby się nikt nie odważył powiedzieć. A chciałoby się nieraz to i owo do rozmowy wtrącić. Tylko mi pan dziewczuchy nie zepsuj — w ten sposób nie powinien pan do niej mówić. . .

Falk chciał mu przerwać.

— No, no — żartuję. Mam do pana bezgraniczne zaufanie, pan ma serce na języku — a to mi wystarcza. Za jaki tydzień wrócę z powrotem. A teraz po angielsku się wymknę. Tylko bądź pan tu jeszcze, jak powrócę. . .

Pan Kauer wymknął się po angielsku.

— Och, jak pan dziś pięknie mówił! Maryt patrzyła na Falka z wyrazem takiego niekłamane go uwielbienia.

— Ja? Pięknie mówiłem? Panno Maryt, ja bardzo głupio mówiłem.

Każde zdanie, które wypowiedziałem, mogłoby napotkać na tysiąc sprzecznych dowodów — ale ci panowie, którzy czerpią całą swoją mądrość z lokalnych „Orędowników“ — „Gońców“ — he, tym to chyba wystarczy i zaimponować może. . . Ale, ale. . . panno Maryt — to, co o papieżu mówiłem, też się pani podobało?

Maryt spieszyła się z odpowiedzią.

— Ale bardzo. Bardzo. Myślałam tak dużo o tych wszystkich rzeczach, i muszę panu przyznać rację, nawet w tem, co mnie przed paru dniami bolało. . .

Falk spojrział na nią zdziwiony. Na to nie był przygotowany. Dziwna metamorfoza. . . Że to wszystko tak szybko nastąpiło.

— Czemu pan nie przyszedł do nas? Całe dwa dni czekałam na pana. A tak się męczyłam. Mówię panu otwarcie, strasznie się męczyłam!

— Ale droga, złota pani, przecież pani chyba najlepiej wie, dlaczego nie przychodziłem. Nie chciałem poprostu niszczyć spokoju pani — a pozatem pani wie, jestem bardzo nerwowy, nie wolno mi się poddawać tej męce — postronek mógłby się przerwać — he, he. . .

Falk uśmiechnął się dobrotliwie.

Umilkli. Przyłączył się do nich redaktor. Nie mógł zapomnąć o toaście na cześć cesarza niemieckiego. Strasznie pragnął, by Falk sobie nogi wywichnął.

— Ale coż pan sądzi o mordach anarchistów? Pan jest znawcą dusz ludzkich, tak zwanym psychologiem. Jakby pan to wyjaśnił?

— I! pan nadzwyczaj spragniony wiedzy, panie redaktorze. Ale chyba pan nie żąda odemnie, bym przed panem składał moje polityczne Credo? No, ale możemy spojrzeć na te rzeczy z takiej balonowej perspektywy, perspektywy „z ponad życia“ — co?

Więc rozumiem i pojmuję anarchistyczną propagandę czynu. Pojmuję ją, jako straszne oburzenie na to wszystko, co nazywamy współczesną sprawiedliwością.

Tak, my zamożni, my syci, my, którzy przynajmniej raz na dzień obiad mamy, możemy się zająć pracą, która dla nas jest rozkoszą, nazywamy to sprawiedliwością, jeżeli nasi bracia w Chrystusie od czwartej rano

dwanaście godzin ciężko pracują, i nas, nas, którzy nie jesteśmy wydziedziczeni, obsługują. No? pan zechce zrozumieć, że są ludzie, którzy w żaden sposób nie mogą się pogodzić z tym porządkiem rzeczy, i z całą naiwną wściekłością chcieliby go rozbić.

I weź pan człowieka, który dzień w dzień ma przed oczyma przykłady tego niesłychanego społecznego okrucieństwa. Weź pan człowieka, który jest świadkiem, jak robotnicy podczas strejku padają gdyby muchy pod kulami karabinów, jak ich wygładzają, gdyby indyjskich kuli, olbrzymie kapitały: więc nie rozumie pan, że takie przykłady społecznego porządku wystarczają, by w człowieku, który ma silne a gorące serce, wzbudzić mściwość, wściekłą — ślepą mściwość — ot! mściwość, męczonego byka, co się na pierwszego lepszego rzuca? A w tym wypadku na pierwszego lepszego z tych sytych i obdarzonych przywilejami?

My tego serca nie rozumiemy, nasze serce małe, biedne i stępiełe. Ale serce, które silnie bije, w którym strasznym odzwźwiękiem rozlega się nędza i gniew i niecnota życia!

Naokoło Falka utworzyła się grupa gości. Maryt słuchała z zachwytem. Redaktor uśmiechnął się złośliwie.

— A więc pan usprawiedliwia mordy anarchistyczne?

Falk przymrużył oczy.

— Ja? usprawiedliwiam? Ale to byłby niesłychany nonsens. Sam należę do tych ludzi, którzy żyją, a nic robić nie potrzebują, bo mam dość zamożną matkę. Ja powiedziałem tylko, że jestem w stanie mord anarchistyczny zrozumieć, nigdy nie powiedziałem, że go usprawiedliwiam.

Falk obrzucił dziwnem, zmęczonem spojrzeniem całe towarzystwo — chwilę zatrzymał się jego wzrok na Marycie — uśmiechnął się życzliwie — potem ujrzał dyrektora gimnazjum.

— A! tak! rozumiem jedną zbrodnię, mord, przestępki — nazwijcie to jak chcecie — zbrodnię z oburzenia i pogardy!

Byłem np. wczoraj tak oburzony na pana dyrektora tutejszego gimnazjum, że podszedłem ku niemu i powiedziałem mu: chciałbym uderzyć pana w twarz, ale nie warto.

Wszyscy obejrżeli się dyskretnie w stronę dyrektora.

— Bardzo mi żal, że sobie tak postąpił, ale w chwili nagłego wybuchu oburzenia. . .

I czemu to zrobiłem? Otóż moi panowie, jeżeli się ktoś gniewa i oburza na twory jakiegoś pana, to przed dziećmiakami tego nie mówi. . .

A prawda, panie redaktorze, pan chce mieć wnioski. Ha, ha! dobrze! wnioski. Więc słuchaj pan; propagandę czynu pojmuję, bo rozumiem wszystkie czynniki, z jakich może się wytworzyć idea politycznego mordu.

. .

Falk zaśmiał się szczerze. . .

Nie było co z Falkiem gadać! Wyślizgiwał się ustawicznie jak węgorz z ręki.

Maryt stała ustawicznie przy Falku, wpatrzona w niego, rozpromieniona — i szczęśliwa. I tak często się do niej zwracał, jakby chciał powiedzieć: wszak tak Maryt!

On jedyny miał to wielkie, piękne serce, o którym mówił. Miał to dumne serce oburzenia i odwagi: przed całym światem zdolny jest powiedzieć, co czuje i myśli.

I taka rozkosz rozpierała jej pierś — taka niewysłowiona rozkosz w tem uczuciu bezgranicznego oddania się. Drżała. Twarz jej krwią się oblała.

Falk na chwilę zniknął.

Naraz wziął ją za rękę.

— Pójdźmy Maryt, pójdźmy! — szeptał jej po cichu do ucha.

Maryt przytuliła się do niego.

— Chodźmy — chodźmy.

W domu landrata nie potrzeba się było żegnać. Każdy wychodził, kiedy chciał. Znikał po angielsku, jak pan Kauer mówił.

VIII

KIEDY wyszli przed dom, był Falk trochę zmieszany.

— Wysłałem stangreta naprzód. Noc tak cudownie piękna. Chciałbym jeszcze z panią mówić. Pójdziemy pieszo — nieprawda?

Głos jego drżał cokolwiek.

Maryt nie powiedziała ani słowa. Tylko jakieś niejasne uczucie dech jej zapierało.

Wyszli za miasto. Oboje zamyśleni i milczący.

Nadeszła chwila, w której się czyta w duszy ukochanej istoty, jak w swej własnej.

— Weźmie mnie pani pod rękę? Droga niezbyt dobra. Łatwo mógłaby pani się potknąć.

Wzięła go pod ramię; przycisnął jej rękę, czuł, że drżała.

Wiedział, że musi teraz mówić, ale lękał się, że głos jego będzie niepewny.

Niepokój jego wzrastał.

Nie! teraz jeszcze nie! Jeszcze nie czas, pomyślał. Tak obcasowo tylko parobek zabiera się do rzeczy.

Księżyc zlewał strumienie światła na łąki— a w dali widne były całe szeregi wysokich kup torfu.

Falk opanował się. Musiał jeszcze poczekać, aby to szczęście zwolna kosztować: tem silniej je odczuje.

Przystanęli i patrzeli na łąki i torfowiska.

I znowu szli, ale nie spojrzeli na siebie, jakby uczuwali przed sobą rodzaj wstydu.

Falk znowu stanął.

— Dziwne, że ile razy patrzę na torfowiska, przypomina mi się torfiarz mojego ojca — pił straszliwie, dostał lekkie delirjum i opanowało go dziwne maniactwo.

Falk instynktownie odwracał jej uwagę, by ją potem nagle tem pewniej osaczyć.

— Otóż uroił sobie, że błędne ogniki, to duchy zmarłych masonów, a wtedy właśnie ukazała się encyklika papieska, że masoni są przez djabła opętani.

Całemi nocami uganiał się po torfowiskach z starem pistoleciskiem, przeskakiwał z dziwną somnabuliczną pewnością najszersze rowy, broczył po grzędzawiskach, przeprawiał się przez głębokie błota, przedzierał się przez lasy i splecione gąszcze błotnistych zielsk i strzelał bezustannie.

Tkwiał w tem straszny tragizm. Widziałem go raz po takiej nocy. Oczy krwią mu nabiegły; był straszliwie obłocony, brudna woda i błoto ściekało mu z twarzy, włosy błotem zlepione, ale był szczęśliwy. . .

Wywijał pistoletem i podskakiwał z szczęścia. Tej nocy udało mu się zastrzelić taką duszę masona srebrnym pieniążkiem. Kiedy się przyjrzał, zobaczył kupkę smoły.

Od tego czasu stał się pistolet jego świętością. Ale raz go zamknięto do aresztu gminnego, bo nie posyłał chłopaka do szkoły. Chłopak pozostał sam na bożej opiece i paśł po rowach kozę, jadyne bogactwo torfiarza.

Naraz strzeliło coś chłopakowi do głowy, by zastraszyć dziecko sąsiada, nad którym też miał czuwać. Przyniósł pistolet, obrócił go lufą do swej twarzy, odciągnął kurek, zapalił zapalną i trzymał ją w pobliżu panewki.

— Teraz cię zastrzelę, zastrzelę! Przysuwał zapalną coraz bliżej panewki.

Dziecko się przestraszyło, poczęło krzyczeć, w tej samej chwili pistolet wypalił: chłopak dostał cały ładunek w usta.

Wracałem właśnie ze szkoły i byłem świadkiem sceny, której w mojem życiu nie zapomnę.

Chłopak zdjęty straszliwym strachem śmiertelnym, podskoczył, przewrócił się, biegł szalonym pędem wokół, krew mu buchała z ust i nosa, a za każdym jękiem, każdym krzykiem tryskał strumień krwi.

Dziecko nic nie rozumiało. Śmiało się do rozpuku z dziwacznych krzyków i skoków swego wuja. Tylko koza zdawała się pojmować grozę położenia. Urwała się w dzikim strachu od kołka, do którego była

przywiązana. — Skakała w okropnych podrywach, przeskakiwała przez chłopaka, przez szerokie rowy. . . O, to było straszne. . .

Maryt była bardzo wzruszona. . .

— Tak, to musiało być straszne. . . Chłopak umarł?

— Umarł. . .

I znowu szli obok siebie w milczeniu — tak blisko siebie, tak bardzo blisko. . .

— Jak pani dziś cudownie wyglądała. Miała pani dziś w swojej twarzy wyraz — wie pani, wyraz, który raz tylko u pani widziałem, przed rokiem. Byliśmy wtedy tak dziwnie szczęśliwi i weseli — ach, to była dziwnie piękna chwila. Staliśmy wieczorem na werandzie. Zdaleka dolatywało nas bicie dzwonów na Anioł Pański, a pani stała i patrzyła z wyrazem takiego szczęśliwego zachwytu i skupienia, jakie tylko szczęście daje.

Falk drżał.

— Patrzałem na panią dziś cały wieczór, patrzałem z głębokim zachwytem i byłem szczęśliwy, bom czuł panią tak bardzo blisko siebie. . .

Przycisnął ją, — dyszał:

— Maryt, kocham cię, kocham. . .

Czuła, jak gorący strumień krwi ją obiega.

— Dla ciebie, tylko dla ciebie tu przyjechałem. Siedziałem w Paryżu, męczyłem się piekielnie, bo tak strasznie za tobą tęskniłem. A teraz mam chorobliwe pragnienie, wziąć cię na moje ręce, przycisnąć do serca, ach! tak mocno, tak mocno, żebym mógł ucuć, jak twoje serce trze się o moje.

Maryt, złoto moje, raj u mój — wszystko, wszystko dla ciebie zrobię; nie opieraj się dłużej! Dasz mi niewysłowione szczęście — wszystko mi dasz — jam tak cierpiał cały ten czas. . . słońce moje, moja ty przenajśłodsza, daj mi to szczęście. Nigdy nie kochałem tak bezgranicznie, tak na oślep, jak teraz — jak ciebie, ciebie. . .

Czuła nad sobą dwoje otchłannych oczu, gdyby dwie ciemne gwiazdy — w głowie się jej zawracało — rozumiała tylko te dyszące, rozpalone słowa, co jak roztopione krople ołowiu spadały na jej duszę. . .

Czuła, jak ją obejmował, jak szukał jej ust, jak się wpił w nią głęboko, rozpalonemi, pragnieniem dyszącymi ustami.

Już się nie broniła. Poddała się bezwładna jego dzikim, rozżarzonym pocałunkom — a w duszy uczuła szalony triumf tego, co nad przepaścią tańczy.

Zarzuciła ręce na jego szyję i całowała — całowała. . .

Falk nie spodziewał się tej namiętności. Był jej głęboko wdzięczny.

— Będziesz moją, Maryt, moją. . .

Tak, to pewno stać się musiało. Coś teraz nastąpić musiało, ale nie wiedziała co. . . te oczy, te straszne oczy — a głos jego — ta — rozkosz. . .

— Puść mnie teraz — puść. . . muszę ochłonać. . . omdleję, szeptała.

I znowu szli cisi i drżący. . .

— Będziesz moją?

— Co, co? co mówisz?

Falk milczał.

— Nie rozumiem. . .

Nie mówili już słowa.

Raz jeszcze przed furtką ogrodu krótki, milczący pocałunek.

IX

FALK szedł zwolna ku miastu.

Przystanął nagle.

A może wrócić, wziąć ją na ręce, zanieść do jej pokoju?

Tak! prosić ją by mu pozwoliła się na krawędzi łóżka, albo przykucnąć na podłodze przy jej łóżku?

Zamyślił się nagle: byłoż to rzeczywiście nieprzeparte pragnienie? Może tylko chęć, by oszołomić Marytę nowymi sugestjami, dać jej obraz swej dzikiej namiętności.

Badał swe serce bardzo skrupulatnie, ale nie mógł rozróżnić, co w sercu jego rzeczywistością a co autosugestją. Ukuł tyle planów, jakby ją zdobyć, wyszukiwał tyle słów, szczerych i kłamliwych, którymi chciał ją do siebie przywiązać, że zatracił całkiem poczucie, co w nim było prawdą a co kłamstwem.

Jego własne autosugestje wydawały mu się nawskroś szczeremi, słowa, które na zimno wymyślił, nabyły teraz uczuciowego, namiętnego ciepła — i tak długo igrał z uczuciami, aż je rzeczywiście w sobie wytworzył.

Gubił się w zaciekaniach nad formą miłości, wywołanej przez autosugestję.

Prawdopodobnie wytworzył w swym mózgu nowy obieg krwi. Powiązał pewne pojęcia, pewne słowa, które dawniej były czcze i oderwane z swoim sercem — bo czemuż mu serce drży i bije gwałtownie, gdy mówi jej to, co przed paru dniami jeszcze mówił na zimno i prawie bezmyślnie?

Ciekawy temat! Jakby to przedstawił?

Myślał głęboko, rozprawdzał ten ciekawy temat. Przecież raz trzeba gorączkujący mózg doprowadzić do równowagi.

A więc dostał polecenie od jakiegoś naukowego miesięcznika dla badań psychologicznych.

Spróbuję, stan który się w mózgu często powtarza, toruje sobie drogi na nowych zwojach nerwowych, łączy się z nowymi naczyniami krwionośnymi, działa na nie tak długo, aż powiążą się w nowe sieci, i stan czystego myślenia staje się stanem uczuciowym.

Ha, ha, ha. . . jestem jak stworzony na to. by napisać naukową „Bierzeitung“ . . .

Tuż obok niego przejechał powóz tak po cichu, że Falk o mało nie wpadł pod konie. Widocznie na gumach. Obrócił się, po obu stronach paliły się latarnie; z uwagą śledził migotanie światła; uciekało, nikło, znowu rozbłysło gdzieś na zakręcie — mimowoli myślał o duszach masońskich torfiarza.

A tam dom Maryty! Możeby jeszcze powrócić? A może ona go oczekuje, możeby była szczęśliwa, gdyby teraz nagle stanął przed nią? A może chodzi po parku, by się ochłodzić? Albo poszła nad jezioro i siadła na tym wielkim kamieniu, na którym zwykle siadywali?

Ale w tej samej chwili zwrócił się ku miastu. Mózg jego był zmęczony a równocześnie zaciekał się z dziwną zaciętością w najsubtelniejsze badania.

A więc ten ciekawy temat! Naukowo nie da się nic z tem zrobić — ale do romansu, do noweli — wspaniale!

A więc ów pan cierpi na miłość, wywołaną autosugestją.

Dobrze!

Ale równocześnie kocha rzeczywiście kobietę, która jest jego żoną. I to kocha tak silnie, że ani na sekundę nie ma wątpliwości, by miłość ta była urojeniem?

A więc kocha jedną i drugą.

Bo kochał Maryt, kochał! Może być, że to sugestia, iluzja — ale to, co się w jego duszy powiązało z obrazem Maryty, było tak silne, takie pełne pragnienia i tęsknoty, że uczucia tego inaczej nazwaćby nie można.

Ale nagle uczuł dziwny, trochę niemiły przesyt: miał za ledwie przedsmak chuci, a już czuł się przesycony.

Pójdzie jutro wprowadzić do Maryty, odnowa rozpali się jego krew, ale nie mniej pozostanie faktem, że dziś czuł się on — Eryk Falk — przesycony.

A więc nie kochał Maryty, bo uczucia przesytu nigdy nie doznawał przy swej żonie.

Nie! nigdy!

A pomnął doskonale, że w chwili, w której wypuścił wreszcie Maryt z swego objęcia, uczuł wstyd i nienawiść ku sobie i ku niej, jakby był jakąś zbrodnię spełnił.

A więc to szczęścia nie dało?

Nie.

Więc było cierpieniem?

Tak! cierpieniem, nienawiścią i wstydem!

Natomiast miłość rzeczywista, nie kunsztowna, nie wywoływana oszołomieniem i sugestjami, miłość, która nie analizuje, nie zna mózgu, tylko serce: ta miłość nie zna wstydu.

Więc cóż — cóż to jest?

Proszę bardzo. Jesteś pan, panie Falk, oskarżającym i oskarżonym. Jesteś Falkiem i panem X.

A więc pan, panie X, oskarżasz mnie, że uwiódł młodą dziewczynę i złamał jej życie?

— Otóż, poczekaj pan tylko, panie X — nie tak prędko. . . Pan wie: hors la methode point de salut. . .

Primo powstała we mnie dziwna niewytłómaczona sugestia, że muszę tę dziewczynę pojąć. A ponieważ nigdy przedtem nie opanowywały mnie takie sugestje, więc ta właśnie zasługuje na szczególną uwagę.

Jak poraz pierwszy się w moim mózgu zrodziła? nie wiem. Mógłbym wprawdzie skonstruować jej rodowód wyliczyć tysiące rzeczy, które ją wywołać mogły — ale to tylko zabawka myślowa. Wiem jedno, że mózg mój mnie okłamuje, że jestem niejako Cicisbeo mego mózgu, a więc mówię: nie znam przyczyn tej sugestji; jestem tylko w stanie określić jej charakter, to znaczy, że ma silny i namiętny chrakter płciowy.

Kiedy po raz pierwszy rozpoznałem ten płciowy charakter?

Zaraz, zaraz. . .

A więc jeszcze zeszłego roku — trzy dni potem, gdym ją poznał. Szła z listem na pocztę, spotkałem ją na rogu dwóch ulic, tak żeśmy się zetknęli. Byliśmy bardzo zafrasowani, zmieszani i onieśmieleni. Czemu? Dla czego?

He, he. . . tu już tkwi płciowy pierwiastek. Odprowadziłem ją do domu, potem ona zwróciła jeszcze na pół drogi ku miastu — potem ja ją odprowadziłem do furtki ogrodu: rozstać się nie mogliśmy. Mówiłem bardzo dużo. Mówiłem o religji.

— Stop! ciekawa, o! bardzo ciekawa rzecz. Bo wytłumacz mi pan, mądry panie X, dlaczego od samego początku starałem się zniszczyć jej dogmaty religijne?

Pan mnie przecież zna i wie dobrze, że mi to w wysokim stopniu obojętne, czy jakiś człowiek wierzy lub nie. A zresztą rzadko mówię o mych przekonaniach, poprostu dla tego, że ich wcale nie mam.

Więc słuchaj pan, zaczęłem być w stanie sobie uświadomić, co się właściwie we mnie dzieje, choć już pracowała z przedziwną logiką. Powiedziała sobie, dopóki religijny dogmat nie zostanie w niej zniszczony, są próżne moje wysiłki i zabiegi.

Zapewniam, że wtedy jeszcze nie myślałem o tem, by ją uwieść — pierwszy raz opadła mnie ta myśl w tydzień po tem.

Było to tuż obok cmentarza na tej ścieżce, na którą z poza muru cmentarza zwieszają się gałęzie brzoź żałobnych — nie wiem co się stało, ale wtedy uczułem, jak głos począł być tkliwy, dziwnie ciepły, obniżał się do cichego szeptu — i wiem, że głos mój ją wytwarzać atmosferę jakiegoś wspólnego a tajnego porozumienia między nami.

Teraz dopiero zrozumiałem: głos krwi!

I odtąd rosło we mnie i rosło bez przerwy nie dawało mi spokoju — a teraz stało się, tak dobrze, jakby się już stało, bo jest we mnie wewnętrzny przymus, który wszystkie zapory przełamie. . . Dlaczego? Nie wiem!

He, he, znam pana, panie X. Pana interesuje ten temat. Chciałby pan pokazać swoją mądrość i przenikliwość, rozwiązać tę zagmatwaną zagadkę.

..

Och pan nie wie, jak łatwo rozwiązywać zagadki!

Wytłumacz mi pan naprzykład, od czego zależy regularne powtarzanie się perjody u kobiety?

Nie wie pan? No naturalnie od księżyca!

Czemu? zapyta pan.

Nic łatwiejszego nad rozwiązanie tej kwestji. Otóż pierwsze żyjątko znajdowało się na dnie morza. Z innej strony wiadomo panu, że działanie księżyca na morze jest nadzwyczajne, a mianowicie powoduje przypływ i odpływ. A więc działanie księżyca na medjum, rozciąga się oczywiście i na owo żyjątko. Wpływ ten przeradza się już jako ściśle zorganizowany przymiot na następne generacje, a w olbrzymim pochodzie ewolucyjnym wreszcie na człowieka: quod erat demonstrandum!

He, he, niepodoba się to panu?

Ale rozejrzyj się pan tylko! Przecież wszystkie wasze logiczne i naukowe dowody mają mniej lub więcej wartość tego, com panu tak pięknie wyłożył.

Falk obejrzał się. Zdawało mu się, że widzi redaktora z wyniosłą pogardą na czole.

— To pan może wierzy w czwarty wymiar?

— Słuchaj pan, panie redaktorze! Pan jest mąż dzielny, pełen zdrowych, społecznych i pozytywnych przekonań. Pan jest racjonalistą i materialistą. Ale dopóki pan nie może dowieść, że pomiędzy panem a mną, teraz w tej chwili, nie ma tysiąca innych osób, nie przestanę przypuszczać, że istnieje nie tylko czwarty, ale i tysięczny wymiar. . .

Że pan nie wącha tego, ani nie widzi, to nie żaden dowód. Mogą być w nas uśpione tysiące zmysłów, o których teraz nie mamy pojęcia, a które z biegiem czasu się wykształcą.

— Dlaczego się nie wykształciły przez milion lat?

— Ha, ha, ha — milion lat — to dla nas dużo, a w pojęciu do wieczności, to matematyczna linja, która jak panu wiadomo w rzeczywistości nie istnieje. . . No ale dajmy spokój. Pan mimo to nieprzestanie dla mnie istnieć jako człowiek niezwyklej inteligencji. Mógłby pan spokojnie służyć Panu Bogu za łopatę, którą ludziom do mózgu rozum szufluje.

Falk czuł się naraz dziwnie zmęczony. Myśli się gmatwały.

Spojrzał: białe mury klasztoru!

Maryt! Maryt!

Dlaczego mu się teraz nagle przypomniała Maryt?

— No patrz pan panie redaktorze, wytłumacz mi, dlaczego mi się teraz Maryt przypomniała? Wytłumacz mi pan, który wszystko wie, wszystko rozumie i naukowo wytłumaczyć może.

Niewie pan? to ja panu powiem.

Nienawidzę klasztorów, bo mi w klasztorze spaczono duszę Maryty. I ile razy widzę jakiś klasztor, w tej chwili muszę myśleć o niej — a, chociażbym widział milion klasztorów, to mi zawsze Maryt będzie stała przed oczyma.

A zresztą idź pan do djabła, to znaczy, żeś pan osioł.

Ale Falk mógł się zagłuszać, czem chciał, mógł myśleć i majaczyć, mógł zatrudniać mózg drobnostkami, głupią błachostką — na nic się nie zdało. Poprzez całą mgłę jego myśli, przez ten chaos uczuć tryskała coraz silniej i jaśniej ta jedna myśl: Maryt, Maryt. . .

Nagle drgnął gwałtownie. Czyż to możliwe, by normalny człowiek myślał tak maniacko?

Szedł jak w gorączce. Strach i przerażenie pieniło się w jego duszy gorącym strumieniem, co mu mózg zalewał. Zdawało mu się, że spada w jakąś czeluść bez końca — a teraz przestał myśleć, pozostało tylko piekielne uczucie strachu przed tą straszną głuszą i ciemnością. Wszystko takie beznadziejne i ciemne.

I znowu błysk myśli: to życie przed nim z tą piekielną tęsknotą, tym niepokojem, tą gorączką tworzenia i niszczenia.

I na co? po co to wszystko? Czemu się męczę? po co te wszystkie wysiłki i te najśmieszniejsze zabiegi ze wszystkich, by swoją chuć zaspokoić!?

Rozśmiał się pogardliwie.

Czyż to nie śmieszny a bolesny obłąd?

I znowu zdjął go chory, błędny lęk, jakiego nigdy przedtem nie odczuwał, i szeptem pytał się ustawicznie siebie:

Dlaczego? Czemuż? czemuż?

Przeskoczył nagle przez rów: zdawało mu się, że jakaś dzika bestja go osaczyła, ale w tej chwili oprzytomniał.

Muszę myśleć spokojnie, na trzeźwo: to lęk rozprószy.

A więc jest narzędziem jakiejś istoty, czy woli, której nie zna, a która nie mniej jest w nim czynna, robi z nim co jej się podoba, według swych myśli i planów, a mózg musi przytem wykonywać czynności pomocnicze — np. okłamywać człowieka, ukrywać przed nim właściwy czynnik, wprowadzać go na fałszywe tropy.

Jeżeli np. teraz Maryt uwiedzie, to nie będzie jego winą. Zupełnie nie! On musi robić to, co nieznanne X w nim mu robić każe.

Czyż nie prawda panie Falk? Gdzieś w ukryciu utworzył się silny łańcuch, jedno ogniwo konieczności splątało się nierozzerwalnie z drugim. . . albo też: w ukryciu został nakręcony zegar, a teraz wszystkie kółka muszą się tak, a nie inaczej obracać.

Więc dobrze, że walczę ze sobą, że bronię się jeszcze, a jednakowoż poddać się muszę. Bo muszę!

Uczuł głęboki smutek.

I na co ta męka, na co to cierpienie?

Przecież nie może dłużej ze sobą walczyć, musi przecież ręce opuścić, więc niech się stanie, co chce. . . nie, co chce, ale to, co się stać musi. . .

Musi! musi!

Całkiem już teraz opadał ze sił.

Ale jak tęcza po burzy ujrzał nagle twarzyczkę swego małego Janka. Cała dusza wypełniła się tęsknotą po brzegi. . .

Wszedł do miasta. Musiał przechodzić obok domu landrata. Właśnie wychodzili z niego redaktor i młody lekarz.

— A pan Falk! a gdzież pan naraz znikł?

Falk był trochę zmieszany.

— Musiałem odprowadzić pannę Kauer do domu. Stangret straszliwie się upił, nie mogłem zostawić dziewczyny na opiece tego łajdaka.

— A może wypijemy u Flauma jaką małą butelczynę?

Falk namyślał się, ale znowu uczuł w swej duszy ten chory, błędny lęk. Czychał. Czychał. Tylko teraz nie być sam! O nie! nie!

— Ależ z przyjemnością, kochani panowie. . .

X

RESTAURACJA nie była jeszcze zamknięta, mimo bardzo spóźnionej pory.

Redaktor kazał podać parę flaszek wina.

— Cieszy mnie bardzo — mówił, że pana poznałem. To wszystko bardzo ciekawe, coś pan mówił, ale mocno mi się zdaje, że pan zbyt ogólnikowe i zbyt ostre stawia wnioski.

— Oczywiście, że to zrobiłem. Alem to zrobił rozmyślnie. Każda rzecz ma tysiące stron: nie leżą obok siebie, by można je w spokoju i z wszelką wygodą rozpatrywać. Przeciwnie, mój panie. Każda rzecz przedstawia się inaczej w innym oświetleniu. Każda rzecz, to tysiącznokątna figura stereometryczna — tylko na jedną płaszczyznę pada światło, a cały sposób rozumowania ludzkiego polega właśnie, że zwraca się swoją uwagę na tę jedną stronę i może jeszcze na dwie lub trzy tuż obok leżące. . .

Falk wypił duszkiem szklankę wina.

— Cóż to znaczy sądzić? Jak można wogóle sądzić o czymś? To dobre, gdy chodzi o to, by się zastosować do warunków zewnętrznego życia, dobre w walce o byt, ale sądy w czystym myśleniu, to bicz z piasku.

Ja o niczem nic wypowiedzieć nie mogę; jeżeli ktoś wywołuje mój sąd — owszem! Ale brać, to co powiem, za coś absolutnego, to nonsens. Wypowiadam tylko moje osobiste wrażenia o jakiejś rzeczy, ale nie sądy.

— To metafizyka, panie Falk — mówił redaktor. Nic nie rozumiem.

Młody lekarz przysłuchiwał się uważnie rozmowie. Nagle wpadło mu na myśl, że mógłby porządnie podrażnić redaktora. Falk umiał wszystko wykpić.

— A co też pan sądzi o socjalnem państwie przyszłości?

Redaktor mrugał niespokojnie oczyma; węszył złośliwy zamiar.

— Co ja o tem sądzę? Ale przecież już u landrata powiedziałem moje zdanie.

— A zresztą to wszystko obchodzi mnie o tyle, o ile wkracza w zakres sztuki.

— Więc z tego punktu widzenia, zgadzam się jaknajzupełniej na wszystkie możliwe urojenia, iluzje, fantasmagorie, które się dotąd w mózgach ludzkich wyplęły i jeszcze się wyplęgnąć mogą.

— Bo widzicie panowie: skoro wszystko zostanie upaństwowione, wtedy zostaną wytworzone oczywiście i dla artysty możliwe warunki życia, i artysta będzie mógł się spokojnie oddać swej pracy. A z drugiej strony wszyscy ci ludzie, którzy z wygody, lenistwa, albo też w braku lepszego rzemiosła poświęcają się sztuce, będą szczęśliwi, jeśli przy równości stanów i sześciogodzinnej pracy otrzymają zatrudnienie jako urzędnicy w magazynach, biurach i t. d. Artystą będzie tylko ten, który nim być musi.

Redaktor, który w każdym słowie Falka węszył kpiny, zaśmiał się podrażniony.

— No, coraz lepiej! To pan i artystów nie zdaje się cenić?

— Otóż nie, zupełnie nie, bo niema ich prawie, a ci, którzy mają tę bożą iskrę, to jej się niezadługo wyzbędą, bo są zmuszeni sprzedawać swój towar na rynku. . .

Falk spoważniał nagle.

— Dla mnie jest tylko ten artystą, co inaczej nie jest w stanie tworzyć, jak tylko pod niesłychanym przymusem wulkanicznej erupcji w duszy — tylko ten, co nie napisze ani jednego słowa, któreby nie było z serca wyrwane, które nie jest żyjącym organizmem, krwią napełnionym. . . a zresztą. . .

Spojrzał z cichym uśmiechem na zgłupiałą twarz redaktora.

— To istnieją tacy ludzie? — pytał doktor zdziwiony.

— A są, są, ale to są tacy przekłęci — poètes maudits — wyśmiani, wyszydzeni, a tłum uważa ich za idjotów. Ha, ha. . .

Falk zamyślił się.

— Tak, tak! Widziałem, jak jeden z tych największych niszczył się i marniał. Był moim kolegą szkolnym. I to był najpiękniejszy człowiek, jakiego spotkałem. Był tkliwy i brutalny, delikatny i twardy, był spizem i hebanem, ale zawsze piękny. Miał w sobie wielką, okrutną, bezwzględną miłość i królewską pogardę.

Ależ pijmy do djabła, wino się nam wysuszy. . .

Tak, to był dziwny człowiek. Ha, ha — pamiętam jeszcze na ławie szkolnej, pisał nadzwyczajności na temat: w jaki sposób należy czcić bohaterów po śmierci.

I wiecie, co mu się wydało największym hołdem?

— No?

— Otóż pisał, że najpiękniejszy hołd dla bohatera, to gdy już zgnije w ziemi, parobcy wyorzą jego kości, a jakiś pastuszek zrobi sobie z golenia, dajmy na to, piszczałkę i zaśpiewa piosenkę na jego cześć. . .

Kiedyś znowu twierdził, że wojny spełniają wysokie, meljoracyjne zadanie. Ciała poległych wojowników są świetnym nawozem, daleko lepszym od superfosfatu.

Zgadzam się, że to brutalne. Ale i natura jest brutalna. Dobrze, że to cyniczne szyderstwo, ale z tym samym cynizmem bawi się natura z rodem ludzkim.

Redaktor był obrażony.

— To wcale nie ładnie, że pan Falk nie uważa nas za godnych, by móżdż z nami na serjo pomówić. Tych kpin już chyba za dużo?

— Ależ ja nie kpię, niech mnie Bóg broni.

— No więc pan wypowiada znowu tylko te słynne wrażenia, które oczywiście dla obcego nie mogą być niczem innym, jak tylko w najlepszym razie paradoksem?

Falk czuł się podrażniony, ale się opanował.

— Moje zdania, przekonania, sądy, wrażenia są tylko dla mnie i nie dla kogo innego. Jestem światem sam dla siebie, i nic mnie nie obchodzi, czy się kto ze mną zgadza lub nie.

— He, to pan się pewno bardzo wysoko ceni?

— Bezwątpienia, i to powinien każdy człowiek robić. Słuchaj pan tylko: w Dreźnie żyje taki czcigodny mąż, który się nazywa Henryk Pudor. Wszyscy uważają go za szarlatana, a rzeczywiście ma bardzo ciekawe maniactwa, ale mimo to tkwi w nim dziwna siła.

Niedawno urządził w Monachjum wystawę swoich własnych obrazów. Obrazy były śmieszne i nic nie warte, ale ciekawy był katalog który sam do swoich obrazów napisał. Tam stoi napisane: Jestem ten, który jestem. Nie

jestem ani artystą ani nie-artystą, nie mam żadnych innych atrybutów prócz tego jednego: jestem, który jestem.

I to dobrze powiedziane.

Pan się myli, panie doktorze: to wcale nie jest pretensjonalną próżnością. Bo skoro jestem człowiekiem, jestem równocześnie tajemną, ukrytą, zadziwiająco głęboką częścią natury. Więc, jeśli mówię: patrzcie tu są moje obrazy, mogą one być śmieszne, ale one są moje, a skoro je tworzyłem z nieprzpartego wewnętrznego popędu, to dają lepszy obraz mojego ja, aniżeli wszystkie moje cnoty i błędy.

To jest obraz mej indywidualności. Kto jest jej ciekaw, to niech idzie na moją wystawę. To jestem ja, a we mnie nie ma nic, czegobym się wstydzić potrzebował.

— Ale to już zupełna manja wielkości, krzyknął lekarz.

— Ani zupełna, ani względna. Pan powinien wiedzieć, że manja wielkości polega na zaniku poczucia mej własnej indywidualności. Dopiero gdy to poczucie stracę, uważam się za Napoleona, Cezara i t. d., i t. d. Ale choćby najsilniejsze poczucie mego ja i jego ważności, nie ma nic maniackiego w sobie.

Przeciwnie: ta pewność siebie wychowuje ludzkość, wytwarza silne indywidualia, których brak daje się właśnie teraz tak boleśnie uczuć, daje moc i potęgę, i tę świętą odwagę do zbrodni, przez którą wszystko powstało.

Tak, tak, panie redaktorze! Tylko to, to poczucie daje odwagę niszczenia, a przez niszczenie powstaje na gruzach wszystko, co wielkie i wspaniałe. . .

Ale dajmy sobie wreszcie spokój: marnujemy czas na głupim gadaniu, przecież to tylko młócenie słomy. I do diabła z wszystkimi zagadkami życia! Hej! panie gospodarzu, świeżą flaszkę!

I pili. Falk był niespokojny i bardzo zdenerwowany. Wogóle zapanował dziwnie podniecony nastrój.

Niezadługo począł redaktor majaczyć.

— Kocham pana, panie Falk, przyslij mi tylko oryginalne korespondencję z Paryża.

— A przyślę przyślę, co tydzień będę przysyłał.

Doktór zanosił się od śmiechu.

— Ha, ha, ta szmata, którą zapełnia wykaz jarmarków i targów w powiecie — będzie miała korespondencję z Paryża. Gdzie leży ta nędzna dziura Paryż? Ha, ha, ha — dobry dowcip!

Redaktor był śmiertelnie obrażony.

Falk wsłuchiwał się w siebie z lękiem i niepokojem.

To znowu nieskończona tęsknota za żoną ogarniała go całego, z taką mocą, że zapomniał o Marycie: nie czuł nic do niej: ni miłości, ni pożądania. . .

Kiedy przyszedł do domu, dniało już.

Umył się i siadł przy stole, i począł pisać:

Ukochana, nad wszystko ukochana Ty!

Jestem jak pijany tą miłością ku tobie. Tęsknię za tobą do szaleństwa. Nic mnie nie obchodzi na tym świecie, prócz ciebie, ciebie jedynej.

A ty mnie kochasz? Och powiedz, powiedz, jak mnie kochasz!

A gdy przyjadę do ciebie, jaką cię zastanę? Jestem jeszcze ustawicznie twoim wielkim, pięknym panem?

Czemu twój list ostatni taki smutny?

Ach jak wszystko we mnie rwie się ku tobie! Jak ja cię pragnę! Och mieć cię teraz przy sobie!

A jestem ja tem dla ciebie, czem ty jesteś dla mnie? Światłem, życiem, powietrzem? Bo widzisz, teraz wiem z pewnością: nie ma dla mnie innego pewnika, innego dogmatu nad ten, że bez ciebie żyć nie mogę!

A ty mnie kochaj, kochaj mnie więcej nad możność — nie, nie, kochaj mnie tylko tak, jak możesz, jak umiesz, a Ty umiesz kochać, ty jedna!

Napiszę ci całą bibliotekę, byś miała co czytać. Będę twoim clownem, abyś się śmiała, gdy się nudzić będziesz; cały świat rzucę ci pod nogi, zmuszę go, by cię podziwiał i wielbił w Tobie panią moją: tylko mnie kochaj!

Z całą pewnością będę w dwóch dniach przy Tobie. . . Twój mąż.

Ale gdy się Falk wyspał i raz jeszcze list swój przeczytał zrobił z dwóch dni pięć — i zaniósł list na pocztę.

XI

FALK i Maryt przystanęli; byli cokolwiek zakłopotani. Ujrzał ją z drogi nad jeziorem i skręcił ku niej.

— Mam bystre oczy, nieprawda?

— A tak, to było trudno tu mnie dostrzedz.

Milczenie.

Popołudnie skłaniało się ku wieczorowi; było strasznie parno — niebo zaciągało się obłokami.

Siedli nad brzegiem; Falk patrzył na szklistą powierzchnię jeziora.

— Dziwne, jaka głęboka cisza na jeziorze. Tę ciszę, tę ciężką, głęboką ciszę, co jest już ponad ciszą, raz tylko widziałem. . .

— Gdzie?

— W fjordach norweskich. O! to nieskończenie piękne. . .

Znowu milczenie.

Maryt była bardzo niespokojna.

— Jak pan zaszedł wczoraj do domu?

— O dobrze, bardzo dobrze. . .

Rozmowa wciąż się urywała.

— Strasznie parno, powiedział wreszcie Falk, w pokoju jest daleko chłodniej.

Szli ku domowi.

Falk próbował zbliżyć się ku niej.

— Wczoraj przeżyłem najpiękniejszą noc mego życia.

Maryt milczała, spojrzała tylko lękliwie na niego.

Falk zrozumiał. Męczył go i drażnił ten milczący opór. Dziś wreszcie musiał to wszystko zakończyć: czuł, że to konieczne, nieodmienne, ale był za zmęczony, nie miał energii przełamać jej opór.

Trzeba było się podrażnić. O! wiedział tak dobrze: po drugim kieliszku poczęło zawsze w nim pracować: wtedy rozlewała się moc w jego żyłach,

która żadnych przeszkód nie zna.

— Ma pani co do picia? Nałykałem się tyle kurzu.

Maryt przyniosła flaszkę wina.

Falk pił szybko, potem rozparł się w fotelu i patrzył na nią bezustannie.

Maryt nie śmiała podnieść oczu.

— Ale cóż się pani stało? Popełniła pani jaką zbrodnię, czy co?

Maryt spojrzała na niego bardzo smutna.

— Bądź pan dziś dobry. Niech się to, co wczoraj się stało, już więcej nie powtórzy. Tak się męczyłam całą noc. . . O, pan straszny człowiek. . .

— Rzeczywiście? Sądzi pani?

— Pan nie powinien szydzić. Wszystko mi pan wziął. Nie mogę się już modlić, bo ustawicznie muszę o tem wszystkim myśleć, coś mi pan powiedział. Ja myślę już pańskimi słowy. . . Odarł mnie pan ze wstydu. . .

— A więc mogę pójść. . .

— Ach nie, nie, Eryk. . . Tylko bądź pan dobry. . . rób pan, co chcesz — tylko to nie — nie żądaj pan już tego odemnie.

Twarz dziecka była tak zasmucona, że Falk mimowoli uczuł litość.

Wstał, pocałował ją w rękę i począł się przechadzać po pokoju.

— Dobrze, Maryt, już cię o nic prosić nie będę. Tylko mów mi ty. . . myśmy przecież już tak bardzo do siebie zbliżeni — nasz stosunek już tak ścieśniony. Będziesz mi mówiła ty — wszak tak?

Falk stanął przed nią.

— Spróbuję — szepnęła.

— Bo widzisz Maryt: kocham cię, że zupełnie od zmysłów odchodzę. Włóczę się całymi dniami z kąta w kąt i tylko myślę o tobie. Po nocach sypiać nie mogę — no i cóż począć? Piję i piję, by się uspokoić. I wysiaduję w kawiarni z tymi idjotami, przysłuchuję się ich głupocie, aż fizyczny ból odczuwam, odchodzę i odnowa ta sama męka, ten sam niepokój. . .

Wiem, wiem, gołąbko moja, żeś ty temu nie winna. Nie robię ci żadnych wyrzutów; ale ty mnie niszczysz. . .

Wiem, wiem, że wszystko dla mnie zrobisz, wszystko — ha, ha. . . Tylko tego nie, co jest jedynym probierzem miłości — tylko tego nie. . .

— Możesz mi tysiąc razy powiedzieć, że mnie kochasz, nie będę wierzył temu, bo albo miłość jest rzeczywistą miłością, wtedy nie zna żadnych granic, żadnego wstydu, żadnych skrupułów, jest ślepą i bezrozumną. Nie jest ani wzniosłą ani niską. Niema w niej skazy ani też zasługi. Jest potężną, wspaniałą jak natura sama.

Albo też — nie, niema żadnego albo. . . Istnieje tylko jedna miłość, a ta nie zna ani praw, ani wiary, ani wstydu, stoi poza wszystkim, co człowieka krępuje. . . reszta to kaprys, fantazyjka, środek na nudy. . . ha, ha, ha. . .

Przystanął przed nią i uśmiechał się szyderczo.

— Złote, kochane dziecko, chciałem mieć orlicę, coby się wzbiła ze mną w moją dziką samotność, a mam słodką, bojaźliwą gołąbkę; chciałbym mieć dziką, dumną lwicę, a mam króliczkę, co zdaje się ustawicznie widzieć przed sobą rozwartą paszczę grzechotnika. . .

Nie, nie, nie lękaj się — nic ci nie zrobię.

Maryt załkała głośno.

— Nie płacz, Maryt, nie płacz. Oszaleję, jak będziesz dalej płakać. Nie chciałem ci bólu zadawać, ale wszystko drży we mnie, rwie się ku tobie, ku tobie, ty moja jedyna, ukochana. . .

Maryt łkała bezustannie.

— Nie płacz, nie płacz moja najdroższa., przykląkł — całował jej ręce

—

— Nie płacz. . .

Przytulił ją do siebie, objął ją, całował jej oczy, głaskał jej twarz i tulił coraz namiętniej jej jasną główkę.

— Moja jedyna, moja najdroższa, moja, moja. . .

I przygarnęła się do niego, zarzuciła ramiona na jego szyję a usta ich znalazły się w długim, rozszalałym pocałunku.

Wyrwała się wreszcie.

Falk wstał.

— No teraz już wszystko dobrze. Śmieję się trochę, śmieję. . .

Uśmiechnęła się.

Falk był ożywiony, pił ustawicznie, opowiadał moc anegdotek — robił dobre i kiepskie dowcipy — a nagle zamilkł.

Jakiś głuchy, parny niepokój zalegał salon. Spojrzeli sobie lękliwie w oczy i oddychali ciężko.

Ciemniało. Służąca przyszła i wywołała Maryt.

Falk patrzył długo za nią.

W duszy uczuł jakieś okrutne, drapieżne pragnienie. Było tam coś twardego, zaciętego; kamień, co się staczał, co wiedział, że w przepaść runie, i że runąć musi.

Ciemniało coraz więcej w pokoju.

Niebo było pokryte coraz gęstszymi i czarniejszymi chmury; nieznośna parność stłaczała się coraz niżej gniotącym ciężarem.

Falk wstał, przechadzał się, głęboko zamyślony.

— Proszę na kolację!

Schwycił ją pod ramię i przycisnął silnie do siebie.

Przy stole milczeli uparcie, raz po raz tylko próbował Falk coś powiedzieć, ale rozmowa nie dała się nawiązać.

Wrócili do salonu.

Falk był głęboko zamyślony.

— Nie weźmiesz mi za złe, Maryt, że dziś dłużej u ciebie pozostanę. . . burza nadchodzi— ja zresztą sypiać nie mogę, przeraża mnie samotność — hm, hm. . . przecież ci nie przeszkadzam? . . .

Maryt ogniem spłonęła.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Cała wieś już spała. Dwór jakby wymarł. Głucha, parna cisza przed burzą zaległa nad nimi, ciężzyła na wszystkich przedmiotach, a tykotanie zegaru sprawiało prawie fizyczny ból.

Nie lękasz się sama w tym wielkim, próżnym domu?

— O czasami strasznie się lękam. Czasami czuję się tak samotna i opuszczona, jakbym była sama jedna, na całym świecie. Mogłabym się w ziemię zagrzebać z przerażenia.

— Ale dziś nie czujesz się samą?

— Nie.

Znowu nastąpiła długa, dysząca pauza.

— Prawda Maryt, masz jeszcze te wiersze, które do ciebie pisałem przeszłej wiosny? Tak chętnie chciałbym je przeczytać.

— Mam w moim pokoju na górze — zaraz je przyniosę.

— Nie, Maryt — pójdę z tobą. W twoim pokoju daleko przyjemniej. Mnie tu samego lęk zbiera — a wiesz, że jestem bardzo nerwowy.

— Ale mógłby kto posłyszeć, jak idziemy po schodach.

— Nie lękaj się; pójdę tak po cichuteńku, że nikt nie posłyszysz. Zresztą cały dwór śpi.

Opierała się jeszcze.

— Ależ słodka gołąbko moja, nie lękaj się przecież. Nic ci nie zrobię. — Zgoła nic. Cicho będę siedział i będę czytał moje wiersze.

Grzmiąco.

— Zupełnie cicho, a jak burza przejdzie, pójdę najspokojniej w świecie do domu.

Weszli wreszcie do jej pokoju. Zamknął drzwi; u progu stanęli jak wryci w ziemię. Wokół nich zdawało się powietrze żyć, ścieśniać gorące, dyszące pierścienie wokół nich. . .

Nagle uczuła Maryt jak ją pochwycił w wściekle, spragnione ramiona. Przed jej oczami jąła tańczyć promienista tęcza, a w duszy uczuła dziki triumf szalonego tańca nad przepaścią.

Zarzuciła na jego szyję swe ramiona i na oślep rzuciła się w otchłań grzesznego szczęścia.

Nagle zerwała się przerażona.

— Nie Eryk, na Boga nie — tylko to nie!

Dyszała — z trudem chwytła powietrze.

Falk ją puścił — pohamował się.

Długie milczenie.

— Słuchaj Maryt — mówił twardo i zimno — teraz się rozstaniemy. Widzisz, jesteś bojaźliwą i wstydz się, że cofasz się teraz — teraz. . . Jesteś gołąbką, jesteś króliczką, a ja jestem dobry człowiek. Jestem dobry, słodki człowiek. Nie masz odwagi powiedzieć mi: idź mój Eryku, idź, pozostaw mi czyste sumienie, pozostaw mi moją głupią, bezpłodną dziewiczość. . . nie masz odwagi, powiedzieć mi tego. . . Jestem silniejszy od ciebie, jestem mężczyzną — więc odchodzę. Żegnam cię, niech się dzieje, co chce.

— Idę, pozostawiam ci twoją wiarę, twoją dziewiczość, tę głupią katechizmową czystość — he, he — twoje czyste i dobre sumienie. Zaoszczędzę ci tak nazwanego grzechu — grzechem nazwali rzezańcy

katolicycy największą piękność. . . Bądź szczęśliwą, bądź bardzo, bardzo szczęśliwą.

Burza wrzała coraz silniej.

W oknach krzyżowały się zielone bruzdy błyskawic.

Falk zwrócił się ku drzwiom.

— Eryk, Eryk, jak możesz być tak straszny, tak drapieżnie, nieludzko okrutny?

I cała ta długo tłumiona męka zerwała się straszną burzą w jej duszy.

— Eryk, Eryk! krzyczała w spazmatycznym płaczu.

Falka zdjął szalony strach.

Pochwycił w ramiona, kurczowym płaczem targaną dziewczynę.

— Nie, Maryt, nie odejdę. Zostanę już przy tobie. Przecież ja od ciebie oderwać się nie mogę. To tylko chwila szaleństwa. Zdawało mi się, że będę mógł odejść. Ale nie mogę, nie mogę. . . Nigdy cię już nie opuszczę — Maryt, słońce, jedyne ty szczęście moje. . .

Grzmot przewalał się strasznym łoskotem po niebie i darł ciężkie opony powietrza.

Jakaś dziwna, bezbrzeżna i nieskończenie namiętna tkliwość rozpierała mu piersi.

Wziął ją na ramiona, kołysał ją jak dziecko, tulił i pieścił; szeptał gorące słowa miłości i zapomniał o wszystkim.

— Dam ci takie szczęście — takie szczęście.

Strumienie gwałtownego deszczu buchały o okna.

Teraz byli sami jedni na świecie. Deszcz, burza, pioruny odcięły ich od ludzi.

Maryt przytuliła się do niego gorąco.

— Jakiś ty dobry, jakiś ty dobry Eryk! I już nigdy nie odejdiesz — będziemy szczęśliwi. . .

— Zawsze już pozostaniemy razem, będziemy szczęśliwi, powtórzył Falk bezmyślnie.

Ale naraz przypomniało mu się to twarde, drapieżne w jego duszy, kamień co w przepaść leci. . .

Przyciskał ją coraz silniej, coraz namiętniej do siebie.

Nie słyszeli grzmotu, nie widzieli ognia na niebie. Wszystko naokół nich jęło tańczyć, kołować, wirować i złało się w jedną w ogromnych kręgach szybującą kulę ognistą.

Falk wziął ją. . .

Jeden przytłumiony krzyk, a potem bełkot i szloch obłądnej, bezpamiętnej rozkoszy. . .

Burza przeciągała. Była już czwarta godzina rano.

— Teraz musisz już pójść, Eryk!

— Muszę.

— Ale idź wzdłuż jeziora, potem przejdiesz przez mur klasztorny i dostaniesz się na ulicę. Inaczej możnaby cię zobaczyć.

W połowie drogi nadciągnęła nowa burza.

Właściwie powinienby się gdzieś schronić. Ale nie miał siły. Zresztą to wściekle obojętne, jeśli się trochę przemoczy.

Niebo pokryło się szybko czarnymi tumanami chmur. Zwieszały się coraz niżej nad jego głową.

Długi, straszliwy grzmot rozdarł powietrze; błyskawica niebo na dwoje rozszarpała.

I znowu grzmot, jedna błyskawica po drugiej i ulewa, jakby się chmura była oberwała.

W jednej chwili ociekał Falk strumieniami wody. Ale zaledwie zwracał na to uwagę.

Ale nagle ujrzał jak z czarnego nieba wytrysł olbrzymi snop ognia, rozłamał się na siedem błyskawic i w tej chwili zapłomieniła słupem ognia wierzba nad drogą. Była od góry do dołu rozszczepiona i rozpadła się.

Życie i zniszczenie!

No tak oczywiście. Gdzie jest życie, tam musi być zniszczenie.

Maryt! No tak, Maryt, zniszczona. . .

Falk miał nagle wyraźną, błyskawiczną świadomość, że zniszczył Maryt.

— Ale czemużby nie? Jestem naturą, niszczę i tworzę życie. Kroczę po tysiącach trupów, bo muszę, i tworzę życie jedno po drugim, bo muszę!

Ja nie jestem samem tylko ja — jestem i tobą i nim — bogiem, światem, naturą — bo ja wiem czym ty jesteś odwieczna głupoto, odwieczna ironio!?

Nie jestem człowiekiem, jestem nadczłowiekiem. . . Hu, hu nadczłowiek! śmiał się do rozpuku z tej bajecznej nazwy — tak! nadczłowiek, okrutny, bezsumienny, wspaniały i dobrotliwy. Jestem naturą, nie mam sumienia, bo ona go niema. . .

Nadczłowiekiem jestem — ha, ha, ha — i znowu się śmiał, chorym, błędnym śmiechem. Nadczłowiek, ha, ha, ha!

I widział przed sobą czerwony słup ognia, co trysnął z czarnego nieba: W siedem błyskawic się rozszczępił i zabił gołąbkę po drodze. Jeszcze się w tysiąc błyskawic rozszczępi i zabije tysiąc gołębic, tysiąc króliczek, i tak będzie wiecznie szedł, płodził i zabijał. . .

Bo tak chce przeznaczenie.

Bo ja to muszę.

Bo moje instynkta tego chcą.

Bo ja nie jestem sobą. Jestem zbrodniczą, szatańską naturą.

I dlatego miałbym się męczyć?

Śmieszne!

Czy błyskawica wie, dlaczego zabija. A ma-li wolę pokierować się, tak jak zechce?!

Nie, może! tylko skonstatować, że tam i tam uderzyła, lub to albo owo zniszczyła.

I ja konstatuje i zaciągam do protokołu, że zniszczył niewinną gołąbkę. . .

Całe powietrze było tak przesycone elektrycznością, że wokół niego zdało się falować całe morze ognia.

I szedł otulony straszną burzą — szedł i rozmyślał, szedł jak jakaś tajemnicza a groźna moc — jak szatan zesłany na ziemię, szatan z całym piekłem męczarni, by siać nowe tworzące zniszczenie dookoła.

Stanął nagle przed parowem.

Woda lała się z niego.

Obejść rowu nie mógł, boby się dostał na szosę.

A zresztą wszystko jedno — trochę więcej lub mniej wody, to teraz już nic nie stanowiło.

Wszystko mu było obojętne — wszystko wszystko. . .

Przeszedł parów w bród — woda sięgała mu pod pachy.

Kiedy przyszedł do domu i położył się do łóżka, popadł w silną gorączkę i straszliwe, przerażające majaczenie.

XII

FALK obudził się w południe. Nie mógł podnieść głowy z poduszek: głowa była ciężka, jakby z ołowiu, a iskrzące się gwiazdy tańczyły w jego oczach.

Wreszcie się podniósł i począł myśleć, niejasno, na wpół błędnie. . .

Jakaś straszliwa myśl opanowała jego mózg: Musiał Marycie coś powiedzieć.

Co?

Nie wiedział.

Ale coś było — musiał iść do niej i jej coś powiedzieć.

Z nieludzkim natężeniem wywlókł się z łóżka.

Koniecznienie musiał jej coś powiedzieć.

To pewno jakieś szaleństwo, gorączka, maniactwo, pomyślał przez chwilę: ale pomimo wszystko musiał pójść do Maryt.

Wstał, siadł znowu. Stąpnął; zimno posadzki orzeźwiło go trochę.

O jak to dobrze!

Trochę świeżego powietrza, a przyjdzie całkiem do siebie. Ale jak to późno mogło już być?

Popatrzał na zegarek.

— Tak późno, tak późno — na dworze pewno chłodno. Czy to rzeczywiście wczoraj była taka burza? A może to tylko był sen?

Jego ubranie leżało w całej kałuży błota na podłodze.

Zdjął go wielki lęk. Ale uspokoił się nagle.

Matki jeszcze tu nie było, inaczejby rzeczy tu nie leżały.

Na stole stała rozpoczęta flaszka koniaku. Wypił duszkiem całą szklankę.

Oprzytomniał i nagle całkiem przyszedł do sił.

Podszedł do szafy, zmienił ubranie, ubrał się dość szybko. Był rzeźki i prawie wesoły.

Jak złodziej podkradł się do drzwi sypialni matki i nadśluchiwał.

Matki nie było. Oczywiście siedzi w kościele.

Falk odetchnął głęboko, ale równocześnie uczuł silnie klucie w piersiach. . .

Ale najsamprzód do Maryt — powiedziec jej wszystko — tak powiedziec — ale co? — No to już sobie po drodze przypomnę, — no, a potem się położę i wtedy dopiero wolno mi chorować.

Gdy go Maryt ujrzała, zerwała się przerażona.

Falk uśmiechał się błędnie.

— Nie lękaj się: to nic — ja byłem cały tydzień chory — a dziś w nocy strasznie się przeziębilem. . . Miałem delirjum gorączki dziś w nocy — ha, ha, nie! dziś rano. . . Właściwie powinienem być zostać w domu. Ale nie wiem co mnie zmusiło, pójść tu do ciebie. — Nie wiem, dlaczego. Daj mi tylko koniaku. . .

Pił duszką jeden kieliszek po drugim.

— Widzisz, wstałem chociaż z niezmiernym trudem. Ale chociażbym był leżał na łożu śmierci, to byłbym był musiał przyjść do ciebie. . .

Ale nagle poczęło mu się plątać w głowie, bredził i majaczył, ale znowu oprzytomniał.

Maryt patrzyła na niego z coraz większym przerażeniem.

— Ha, ha, ha, — co tak na mnie patrzysz? To straszna rzecz taka blond-bestja, którą się jakiemuś panu profesorowi podobało nazwać Übermenschem. . . Nadczołowiek! ratuj mnie Maryt, bo zdechnę ze śmiechu. . . Ale w każdym razie taki Übermensch to zadziwiający maniak. Słuchaj: budzę się: nic nie wiem, co mi się śniło, co dusza moja przemajaczyła podczas paru godzin. Pamiętam tylko wnioski, jakie ma metafizyczna dusza — he, he — z tego snu wyciągnęła. A ten jedyny wynik mego snu, którego nie pamiętam, to właśnie, że za wszelką cenę musiałem do ciebie przyjść. Jestem chory, może nawet bardzo chory, ale do ciebie przyjść musiałem.

Znowu go siły opuściły.

Widział przed sobą snop ognia, czerwonego ognia, co się rozczepił na siedem błyskawic i zabił białą, czystą gołąbkę. . .

Maryt była zrozpaczona.

— Eryk, na Boga — Eryk! Ty jesteś chory; wracaj do domu — Boże, Boże, jak strasznie na mnie patrzysz!

— Czekaj, Maryt, czekaj chwileczkę. Na drodze leży wierzba — jest od góry do dołu rozczepiona. Jedna szczapa przewróciła się przez rów, a druga zaparła drogę ciężką kłodą — kiedym szedł do ciebie — do ciebie — nieprawda? jestem przecież u ciebie? — Ale, co ja miałem ci powiedzieć? Po co ja tylko przyszedłem?

— Eryk, słodki, złoty Eryk, odwiozę cię do domu — tyś strasznie chory. Wybiegła na podwórze i kazała zaprządz konie.

Cóż on tylko chciał jej powiedzieć? Musiał jej powiedzieć? . . . Gołąbka — błyskawica. . . dom rodzinny, sen. . . życie — zniszczenie. — Aha! zniszczenie.

Och niszczyć! ha, ha, — niszczyć — niszczyć!

Dzika triumfalna drapieżność rozpierała jego mózg. Chłonęła go dzika, okrutna chuć niszczenia.

Przed jego oczyma poczęły przedmioty wyprawiać dziwne tańce i harce. Maryt stała przed nim gotowa, w kapeluszu i płaszczu. Przerazona wylęknięta.

— Chodź Eryk, słodki jedyny Eryk, chodź, chodź. . .

Całowała go w oczy.

— Jeszcze, jeszcze raz. . . całuj, całuj. . . prosił jak dziecko. . .

— Ale teraz chodź, chodź, błagała Maryt na klęczkach i całowała jego ręce.

— Mój mężu słodki — uśmiechnęła się do niego, mężu mój chodź. . .

Zerwał się nagle. . .

— Maryt! to ja ci jeszcze nie powiedziałem? Przecież ja nie mogę być twoim mężem, bo ja jestem już żonaty. Moja żona jest w Paryżu. Panna, Perier to moja żona. . . Nie wierzysz? Pokażę ci zaraz mój kontrakt ślubny. . .

Począł szukać nerwowo po kieszeniach.

Oprzytomniał i uśmiechał się błędnie.

— Boże, jakie ty czarne doły masz w twojej twarzy — patrzysz na mnie jak upiór. . . Och, nie patrz tak na mnie, nie patrz, nie patrz. . . Idę już idę — idę. . .

Wybiegł, jakby go furje opętały.

— Tu, proszę pana, tu niech pan wsiądzie — ja pana odwiozę.

— Tu wsiąść? — Aha! to tu. . . Falk wsiadł do powozu.

— Ale gdzie jest mój kapelusz? Nie ma kapelusza. . . Falk trzymał go w ręku. . . Dziwna rzecz, że kapelusz zgubił. . .

Maryt siedziała oszołomiona, bezprzytomna w pokoju.

— Teraz pojechał do domu. Jechał? Nie, nie! A tak! prawda pojechał ..

Ani jednej myśli w głowie. Więc umarła. — Nie! śniła tylko. . . Ale gdzieżtam! nie śniła— to wszystko prawda, co mówił.

I znowu ujrzała twarz Falka z szatańską, szyderczą twarzą; wżarł się w nią oczyma wampira. . . Kłamca! krzyknęła jej dusza — kłamca!

Wreszcie powiedział prawdę.

Siedziała blisko godzinę.

A więc był żonaty..

Żonaty powtórzyła zimno i twardo.

Cała jej dusza lodem się ścięła; wszystko się w niej kurczyło — zwęzła się — ciepło ubiegło i cały jej mózg to jedna myśl: Żonaty!

Płatało się jej w głowie.

Zerwała się.

Jezus! Jak można tak długo siedzieć w kapeluszu i płaszczu! Stanęła przed lustrem.

Przecież z kapeluszem na głowie nie mogła iść do kuchni — a przecież czas najwyższy — czekali tam na nią.

Uśmiechała się błędnie.

Zaszła do kuchni; miano piec chleb. Zarządziła wszystkim. Była dziś niezwykle czynną.

Potem powróciła do swego pokoju.

Nad kanapą wisiał obraz, złożony z kolorowych głosek w jaskrawych, bizantyńskich inicjałach. To było całe Ojciec Nasz.

Patrzała z wielką uwagą.

— Ohydny ten smok w tem M. Czytała: I odpuść nam nasze winy. . .

Nie, nie — poczekaj tylko Maryt. . .

Siadła na krześle. . .

— Tak, to nie sen! Tam siedział Falk. A potem powiedział?

— Mam żonę! zgrzytnęło jej w uszach.

— A tak! żonaty z panną Perier. . .

Podeszła do okna i patrzyła na ogród.

Jak długo ten dzień trwa. No oczywiście: 24 czerwca to przecież najdłuższy dzień.

Spojrzała na zegarek. Piąta godzina po południu.

Teraz brat wróci z gimnazjum. . . Trzeba dla niego przygotować podwieczorek.

Powóz zajechał przed dwór.

— Maryt, Maryt — pan Falk bardzo chory — mały jej brat opowiadał silnie rozgorączkowany. Kiedy Maciej go przywiózł do domu, trzeba było go wynieść z powozu — matka płakała, potem przyszedł fizyk. . .

— Tak? To Falk chory?

Maryt chciała małemu bratu opowiedzieć, że Falk jest żonaty, ale powstrzymała się.

Teraz przyjedzie do swego męża — żona jego — ha, ha żona jego będzie znowu pielęgnowała męża, który się zatrzał nikotyną — będzie znosić wszystkie jego kaprysy z cierpliwością anioła. . . tak — tak. . .

Zadzwoiła.

Prosiła, żeby nikt jej nieprzeszkadzał, bo położy się spać. Jest zmęczoną.

Falk bardzo chory. . . Trzeba go było wynieść z powozu — matka płakała. . .

Maryt szybko biegła po pokoju.

Muszę pójść do niego — w tej chwili. . . natychmiast. . . Falk umrze. . .

Głowa jej pękała — ujęła głowę w obie dłonie.

Żonaty, żonaty! huczało jej w głowie.

— Dam ci takie szczęście, takie szczęście — nigdy cię już nie opuszczę.

. .

Płakała z bólu, dławiło ją w gardle.

Boże! Boże! Jak on kłamał!

Wstyd i oburzenie, że zdawało jej się, iż każda żyłka w mózgu pęka.

No więc — co się stało? — Stało się coś? A tak — tak. . .

Czuła jak ją kołysze w swoich ramionach. Paliły ją jego gorące, wściekłe pocałunki. Całe ciało podrzucało się w konwulsyjnych dreszczach w ogniu tych pocałunków.

Rzuciła się na łóżko — wgrzebała się w poduszki.

O! własnymi paznogciami wygrzebać sobie grób! O wstyd! o hańba!
Zmierzchło.

Poza jeziorem gasło słońce nad wierzchołkiem lasu.

Maryt słuchała.

Słyszała klekotanie bociana. Dziewki się śmiały na podwórzu przy
obieraniu kartofli.

Ktoś śpiewał. . .

Aha! to brat. . .

Usnęła.

Gdy się obudziła, była głęboka noc.

Siadła na krawędzi łóżka — myślała. Ale myśli jej się rozprószały.
Patrzała bezmyślnie w ciemnię pokoju.

Była przeklętą! Bóg ją odtrącił! Teraz już wszystko na jedno wyjdzie —
wszystko!

Myślała, czy istniało cośkolwiek, coby nie było jej obojętnem?

Nie — wszystko głupie i obojętne.

Falk chory — ale Falk ją okłamywał, oszukiwał. . . Przyrzekał jej
szczęście, wielkie szczęście, a był żonaty. Teraz przyjedzie jego pani i
będzie go pielęgnować; a Maryta przeklęta, potępiona. . . Pójdzie do niego,
to żona jego ją wygna jak psa. . . I będzie leżeć jak chory pies skulona u
jego progu. . . Ale czyż miała prawo mu się narzucać? Och nie! nie! Nic już
dla niej na całym świecie i w całym życiu. . .

Wszystko przepadło. Ojca nie ma — matki nie ma; Pana Boga też nie
ma — tak przynajmniej Falk zaręczał — a widocznie go niema, bo inaczej
Bóg nie mógłby tak dręczyć, dziecka człowieczego. . .

Wreszcie zerwała się — stanęła przed lustrem i poprawiła swoje włosy.
— Boże taka mizerna. . .

I schudła — schudła. . . no, ale cóż ją to teraz obchodziło.

Cały dom jak wymarły. Późna noc.

— To szczęście, to bezmierne szczęście. . . A dał mi szczęście, dał. . .

Wzięła kapelusz i płaszcz i poszła nad jezioro.

Siadła na kamieniu. Nazwała go „Przylądkiem dobrej nadziei“, kiedy tu
Falka oczekiwała dzień po dniu.

Na przeciwnym brzegu stał mały domek rybacki. Wyczołgało się z niego światełko, mały punkcik światła i rozlał się na ciemnym szkiwie jeziora.

Patrzała na długi, wąski, wyciągnięty promień światła i na ciemną toń jeziora. . .

W tym zatorze chłop się utopił przeszłego roku razem z końmi. . .

Ale cóż ją to obchodzić mogło?

Była sama; nikt, nikt jej nie kochał. Była jak pies wygnana na słoć i burzę przed drzwiami.

Żona jego teraz przyjedzie — weźmie go ze sobą — a ja pozostanę sama, samiuteńka jedna. . .

O wszechmocny, litościwy Boże, jedyna jedna. . . O nie, nie — dosyć już męki. . . Koniec się zbliża.

Straszliwy strach i lęk rozparł jej piersi. Rozpinała szybko suknię.

Nagle rozszalała się w jej mózgu jedna straszliwa myśl;

Świat się kończy! Wszystko się kończy! Potop! Potop!

Zerwała się.

Tam ten zator — ten zator. . .

Biegła. . . W głowie huczało i dudniało. Nic nie widziała — nie słyszała nic. . .

— To tu, tu, tu. . .

— Nie, jeszcze maleńki zakręt—o tu, tu. . .

Krzyknęła we wodzie — walczyła z zatorem. . .

Życie! Zator. . . Och! to szczęście. . .

XIII

POTYGODNIU wrócił Falk do przytomności.

Przy łóżku siedziała żona jego i spała.

Nie był wcale zdziwiony.

Przyglądał się jej uważnie.

Tak, to ona. . .

Opadł znowu w poduszkach i zamknął oczy.

Teraz wszystko już dobrze.

Czerwony snop ognia ujrzał naraz, co się rozczepił w siedem błyskawic.

..

Maryt pewno nie żyje. . .

Usnął. . .

DZIEŁA STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE
NAKŁADEM ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR“

DE PROFUNDIS

Ponure, lecz potężne, wstrząsające malowidło najtajniejszych głębin duszy ludzkiej, targanej namiętnością tak zwanej „kazirodczej“ miłości. Pasowanie się obłędne dwojga płci, ciężących ku sobie, a przecież raz poraz odpychających się jakąś dziką nienawiścią, aż wreszcie żądza zwycięży ponad wszystkim i da upojenie aż do szału, wiodące poprzez życie rzeczywistości i życie wizji w krainę śmierci.

Powieść poprzedzona jest świetną ideową autobiografią autora, napisaną — jak twierdzi sam Przybyszewski — dlatego, że wzięła go ochota, zrobić raz wreszcie ze sobą samym porachunek, zdać sobie sprawę z całej swej twórczości, zesyntetyzować to wszystko, co mogło się wydawać niesłychanie rozbieżnym. Istotnie też w tym zwierciadle autoanalizy ideowej i twórczej inaczej zgoła przedstawia się sylweta duchowa autora i jego dzieła, niż ogólna opinia zwykła je była dotychczas osądzać.

HOMO SAPIENS

Głośna ta trylogia, składająca się z trzech oddzielnych wypadkami, ale złączonych ściśle i osobą bohatera i psychologiczną nicią powieści: I Na rozstaju, II Po drodze, III W Malstromie, rozślawiła niegdyś nazwisko genialnego polskiego autora w literaturze młodych Niemiec. W transkrypcji

polskiej — tłumaczeniem bowiem przetworzenia tego nazwać nie można — pojawia się obecnie po raz wtóry, jeszcze raz gruntownie opracowana. Przeżycia duchowe i erotyczne bohatera Eryka Falka, utrzymują uwagę czytelnika w ustawicznym napięciu, losy nieszczęśliwych kobiet, padających ofiarą jego demonizmu, wzruszają do głębi. Obraz ludzi, wciąganych żywiołowym wirem w topiel życia, wirem, który jednego z nich tylko pcha ku szczęściu, lecz który wreszcie i zwycięzcę pograży w toni, imponuje potęgą i barwnością psychologiczną.

MOCNY CZŁOWIEK

Trylogia, złożona z „Mocnego człowieka“, „Wyzwolenia“ i „Świętego gaju“ mogłaby być uważana za powieść sensacyjną, gdyby nie jej wybitne walory artystyczne oraz psychologiczna głębia. Z kinematograficzną wprost szybkością następują po sobie wypadki tej historii, przedstawiającej dzieje „mocnego człowieka“, nie cofającego się przed żadną zbrodnią, byle osiągnąć zamierzone cele, byle zaspokoić chorobliwą ambicję sławy, władzy, posiadania kobiet. Tym typem, namalowanym przez autora z przeraźliwą jaskrawością, jest Bielewski, który karierę literacką rozpoczyna od przywłaszczenia sobie cudzych dramatów, który bez skrupułów morduje swą kochankę Lucję, naocznego świadka popełnionej kradzieży, który nie cofa się przed zniszczeniem artystycznego malarskiego dorobku własnego przyjaciela, by w pożarze atelier zatrzeć ślady swego występku, który z zimną krwią składa na ofiarę wszystko i wszystkich na drodze do swoich egoistycznych celów. Zbrodniczość stała się jego drugą naturą, nie odwołuje go nawet „Święty gaj“ miłości ku czystej jak łąka kobiecie, która zresztą w swej bezmiernej miłości nie uwierzy jego spowiedzi. Aż wreszcie syt sławy i użycia rzuci wreszcie światu publicznie i zuchwale wyznanie swych zbrodni w chwili największego triumfu.

SYNOWIE ZIEMI

Nieszczęśliwi synowie ziemi, marzący o ideałach, a szamoczący się w strasznym znoju życia, dążący ku szczytom, a grążący w błocie

codzienności, występku i niedoli. Nieszczęśni synowie ziemi, ożywieni najlepszymi instynktami, lecz wyrokiem tragicznego fatum czyniący zło nawet tam, gdzie chcieliby czynić dobrze. Godni litości, bo cierpiący nie za własne zwykłe winy. Oto galeria postaci, jakie przeprowadza Przybyszewski przez swą trylogię „Synowie ziemi“, której dalsze dwie części noszą tytuły: „Dzień sądu“ i „Zmierzch“. Z niesłychaną potęgą dramatycznego wyrazu i z głębokim umiłowaniem tych nieszczęsnych kreśli autor ich tragiczne zapasy z życiem, z których synowie ziemi zawsze wyjść muszą pokonani. Na tle barwnej opowieści rozbrzmiewają nieraz liryczne tony, pełne szlachetności i prawdziwego piękna. A obrazy malarycznego Krakowa, gór tatrzańskich i tp. są malowane wprost mistrzowskim pędzlem.

DZIECI SZATANA

Jedna z pierwszych powieści znakomitego autora, wprowadzająca nas w środowisko świątobiorczych wywrotowców i anarchistów. Dziećmi szatana są ci wszyscy, którzy gnani rozpaczą i zwątpieniem czują trwogę, wszyscy, których sumienie jest obciążone złem. Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed czytelnikiem to obrazy o niesłychanej barwności i dramatycznej sile, to wywody teoretyczne o wywrotowych ideach, o celach świata i ludzkości, ścierają się w zaciekle dysputach poglądy, ścierają się w tańcu miłości i życia jednostki ludzkie, drapieżne, krwiożercze, dyszące namiętnością, nienawiścią, złem. Pożar ratusza, podpalonego przez anarchistę-suchotnika, sceny paniki i rozruchów ulicznych i liczne inne świetne epizody, rozsiane hojnie dłonią autora, pozostają długo w pamięci dzięki swej plastyce, wstrząsającej grozą. Poszczególne obrazy tej powieści można śmiało porównywać z najdramatyczniejszymi scenami „Germinala“ Zoli, bez szkody dla polskiego pisarza.

o książce *Homo Sapiens 2: Po drodze*

Druga część cyklu powieściowego wybitnego przedstawiciela polskiego modernizmu Stanisława Przybyszewskiego, w której to główny bohater próbuje uwieść pobożnego szesnastolatka.

Autor dokładnie analizuje szaleństwo głównego bohatera, który zmaga się z zaburzeniami nerwicowymi. Temat powieści koncentruje się wokół niemoralnych czynów Erika Falka - emigranta z Polski, zamieszkałego w artystycznym Berlinie na początku lat 90. XIX wieku. Falk to anarchista, lekceważący wszelkie normy moralne. Przybyszewski jak zwykle ozdobnym językiem opisuje proces degradacji jednostki przez alkoholizm i erotyzm.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.